

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

REWOLUCJA W P. P. S.

NIEDYSKRECJE :

Rewolucja w P. P. S.	674
Przesilenie w polsko-niemieckich rokowa- niach handlowych	"
„Pijany budżet“	"
Transatlantycki lot nowego Zeppelina	"
Strzały w Sofji	675
ZA PARAWANEM NIEMIECKIEGO KAMU- FLAŻU WOJSKOWEGO St. Poraj	"
TAJEMNICA WSCHODU A. Uziembło	677
ORGANIZACJA BIBLIOTEK PUBLICZNYCH W CZECHOSŁOWACJI J. Filipkowska- Szemplińska	"
NOWE MOŻLIWOŚCI W AMERYCE POLUD- NIOWEJ DLA EKSPORTU I EMIGRACJI POLSKIEJ Dr. Radwan Pragłowski	679

„GŁOS PRAWDY LITERACKI“

Szkoła księgarska Jan Muszkowski	680
Ja mówię Edward Góra	681
Szczęście Roman Bransdtetter	"
Pieśń o miłości i o Kasi	682
Pieśń o cierpieniu i o wierze Lucyna Krzemie- niecka - Walicowa	"
Paradoksalne libretto Juljusz Kaden - Ban- drowski	"
Literatura a muzyka K. Stromenger	683
Na marginesie jkb.	684
Z niwy poloników I. Gleyden	685
50-letni jubileusz Amerykańskiego Związku Bibliotekarzy L. Ron	686
Z bibliofilskiej antologii Wybrał Este	687
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego	"

NIEDYSKRECJE

REWOLUCJA W P. P. S. STAŁA SIĘ FAKTEM. Po długiej i nużącej kampanji naczelnego organu socjalistycznego „Robotnika”, po oskarżeniach wszystkich i wszystkiego o robienie tego rozłamu, oskarżeniach rzucanych przez „Robotnika” — rozłam dokonany został, a dokonany nie czyjmi innymi rękoma, jak rękoma działaczy socjalistycznych z pod znaku C. K. W. — i „Robotnika”. Rewelacje „Przedświtu” o tajnej naradzie mężów C. K. W. pod protektorem p. Zaremby, będącej swojego rodzaju sądem samozwańczym nad niepoddającymi się dyktaturze C. K. W., zasłużonymi dla Polski i partii ludźmi, uprzedziły opinię publiczną przed tem, co stać się wola dyktatorskich przywódców nieodwołanie miało. I po co było oskarżać Blok Bezpartyjny o robienie rozłamu w PPS., poco było zarzucać „Przedświtowi” pobieranie subwencji rządowej, gdy się postanowiło ten rozłam na ulicy Wareckiej! Rewelacje „Przedświtu” mają jednak inne jeszcze znaczenie. Nie ograniczają się one do rzucania światła na intrygi C. K. W., ale odsłaniają i właściwe tendencje w dotychczasowych władzach P. P. S. Wszak partja żyła od dawna już w atmosferze kryzysu — od dawna zaznaczyły się rozbieżne kierunki w poglądach na stosunek do rządu, taktykę parlamentarną klubu P. P. S. i podstawy ideologiczne władz partyjnych. Ale burza wybuchła teraz na tle nieuznania przez władze partyjne warszawskie Rady Zw. Zawodowych. Władze centralne postanowiły zastosować represję, uważając, że bez woli decyzji i aprobaty C. K. W. w demokratycznej par excellence partji, nie, ale to absolutnie nie dźać się nie może. Idea dyktatury znalazła tu pełny wyraz — niosąc hasła walki o demokrację, o samorząd. Na własnym podwórku C. K. W. zaprzecza swym ideom. Jakże teraz w „Robotniku” wyglądać będzie deklamacja o demokracji w życiu! Boć frazeologia o demokracji parlamentarnej nie przesłoni oczu na rzeczywistość dyktatorską w życiu. Grupa dawnych niepodległościowców, posadzona przez C. K. W. na ławę oskarżonych, sława rozłamu nie wypowiedziała. Słowo to nie padło z ust towarzyszy wielkiej epoki walki o Polskę i demokrację z lat 1905—1920, — padło inne, daleko głębsze wartości odkrywające — rewolucja. Frakcja rewolucyjna P. P. S. wchodzi w aktywny okres życia, walki o sumienia, o prawdę wewnętrzną, o głęboką treść idei socjalistów polskich. Na szczytach tej walki zetrze się z sobą wiara i przekonania dawnych bojowców, twórczego elementu z nieskoordynowanymi naleciałościami i wszelaką mierzwą internacjonalistycznego myślenia.

PRZESILENIE, KTÓRE Z WINY NIEMIEC NASTĄPIŁO W POLSKO-NIEMIECKICH ROKOWANIACH HANDLO. WYCH, jest jednym dowodem więcej, jak mylnie wyobrażenia ma o nas nasz sąsiad zachodni. Sądząc z głosów prasy niemieckiej, rząd niemiecki liczył niemal napewno, iż w dążeniu do jaknajszybszego zawarcia traktatu handlowego z Niemcami zgodzimy się w końcu, jako strona słabsza, na wszystkie wysunięte przez nich warunki. Rozumowanie jego oparte było, jak widać, na bardzo błędnej przesłance, iż kontrahenci w tych rokowaniach nie są równi, i że nam znacznie bardziej zależy na traktacie, aniżeli Niemcom. Z drugiej strony, dotychczasowe stanowisko Niemiec w tej sprawie, wypływało również i z innego założenia, a mianowicie, z obawy, iż traktat handlowy z Niemcami wzmocniłby nasz prestige na rynkach ekonomicznych świata, a co zatem idzie, pomnożyłby też i nasz kapitał polityczny. Oczywiście, perspektywa tak jaknajmniej się Niemcom uśmiechała. Stąd ich nieustanna gra na zwłokę,

wyczekiwanie chwili, kiedy projektowany traktat mógłby być osiągnięty przy maximum korzyści dla nich i jaknajwiększych ustępstwach z naszej strony. Z tą linią zasadniczą, charakteryzującą od dwóch z górą lat taktykę rządu zbiega się opór agrarjuszów niemieckich przeciw dopuszczeniu na rynki Rzeszy naszych produktów rolnych i hodowlanych. Rząd socjalistycznego kanclerza Müllera ulega mu niemniej od dawnych rządów. Już sam fakt, iż prowadzenie rokowań powierzone zostało rzecznikowi kół agrarnych, b. ministrowi Hermesowi usuwa wszelkie pod tym względem wątpliwości. W zupełnym zaślepieniu oczekiwali kontrahenci niemieccy, że zrezygnujemy z naszych najżywniejszych interesów i oddamy się pod ich łaskawą supremację gospodarczą. Teraz dopiero widzą jak dalece nierozumne były ich rachuby. Liberalna prasa niemiecka zorientowała się nareszcie w błędzie, nazywając go delikatnie „nieporozumieniem”. „Vossische Zeitung” składa za to odpowiedzialność na „złych informatorów” rządu niemieckiego, fałszywie interpretujących stanowisko Polski, zaznaczając, iż w większości swej gabinet Müllera pragnie kontynuować rokowania. Jednocześnie zjawiała się pogłoska o mającej nastąpić dymisji p. Hermesa. Może doświadczenia dwóch lat ostatnich uświadomią nareszcie Niemcy, jak złych metod trzymały się dotychczas, i wskażą im właściwą drogę. Sądźmy, iż ustąpienie p. Hermesa i powierzenie jego misji politykowi niemieckiemu, życzliwiej dla sprawy rokowań usposobionemu, znakomicie by się do tego przyczyniło.

„PIJANY BUDŻET” Rosji Sowieckiej zdobywa rekord „państwowego alkoholizmu”, przewyższając najgorsze czasy carskie. Główną podstawą budżetu Z. S. S. R. na rok 1928-29 pozostaje, jak i za „dawnych, dobrych czasów”, monopol spirytusowy, którego dochody preliminowane są na 1200 milionów rubli złotych wówczas gdy ostatni budżet Rosji przedrewolucyjnej w roku 1913 przewidywał zaledwie 600 milionów rubli wpływów z tegoż monopolu. Nie jest rzeczą przypadkową, iż w porównaniu z rokiem ubiegłym państwowa produkcja wódki wzrosła o 60 procent, albowiem sowieckie władze skarbowe umyślnie dążą do wzmożenia fabrykacji napojów wysokokowych celem utrzymania równowagi budżetowej. Wystarczy pobieżnie przejrzeć statystykę konsumpcji alkoholu w Rosji Sowieckiej, aby mieć pojęcie o rozpowszechnieniu opilstwa wśród ludności Z. S. S. R. W samym tylko Leniנגradzie, liczącym obecnie 1.200.000 ludności, w ciągu roku ubiegłego skonsumowano 7 milionów wiader piwa i około 2-ch milionów wiader wódki. Również i w innych centrach przemysłowych z Moskwą na czele spożycie alkoholu robi zastraszające postępy. Dzieje się zaś to przy czynnym poparciu rządu komunistycznego, który dla celów fiskalnych „alkoholizuje” proletarijat i włościństwo.

TRANSATLANTYCKI LOT NOWEGO ZEPPELINA nie wniósł nic nowego do skarbnicy fachowej wiedzy lotniczej, po czteroletniej żmudnej pracy, po wielokrotnych zapowiedziach doniosłych odkryć i nadzwyczajnych udoskonaleni. Jeśli zrozumieliśmy był entuzjazm, z jakim przed laty witano za Atlantykiem pierwszy statek napowietrzny, to obecnie, po przelotach Lindbergha, Chamberlina, de Pinedo i wielu innych, przebywających ocean w samolotach — łupinkach w ciągu trzydziestu kilku godzin. — 111-togodzinny lot kołosa, zaopatrzonego w kilka potężnych silników, posiadającego liczną załogę i doskonałe urządzenia techniczne, bynajmniej nie wywołuje podziwu. Reklama niemiecka przeceniła te czynniki psychiczne, które zmuszają nas do podziwiania lotników, mężnie pokonywujących żywioł w przeciwieństwie do

ludzi, odbywających mało-ryzykowne loty. Przecież sterowiec generała Nobile „Italia” dał dowód bezpiecznego szybowania nad morzami i lodowcami. Mimo fatalnego zakończenia ekspedycji, admiracja dla Nobilego polegała nie na przebyciu większej lub mniejszej przestrzeni, lecz na poświęceniu jego i towarzyszy, mającym na celu dokonanie badań naukowych, w niezwykle trudnych warunkach meteorologicznych i atmosferycznych.

**

STRZAŁY W SOFJI stanowią jeden z licznych krwawych epizodów terroru macedończyków. Walka o niepodległość Macedonji, datująca się od pierwszych wojen z Turkami, trwa nieustannie, pomimo wypędzenia Półksiężycy z Bałkańskiego

półwyspu. Najbardziej rozpowszechnioną bronią rewolucjonistów macedońskich jest akcja terrorystyczna, która zadaje cios za ciosem przeciwnikom niepodległości. W ostatnich jednak czasach ostrze terrorku skierowane zostało przeciw samym rewolucjonistom, nawzajem zwalczającym się w przeróżnych frakcjach i ugrupowaniach. Walka między znajdującymi azyl w Bułgarii — komitadżami macedońskimi, między zwolennikami niedawno zamordowanego Protogerowa lub Vanczo Michajłowa, niewątpliwie inspirowana przez wpływy, których chaos w stosunkach bałkańskich. Korzystający zaś z gościny bułgarskiej komitadżowie niezbyt pięknie odwdzięczają się swym gospodarzom, wnosząc zamęt do wewnętrznych stosunków bułgarskich.

ZA PARAWANEM NIEMIECKIEGO KAMUFLAŻU WOJSKOWEGO

Prawda o zbrojeniach Niemiec. — Sensacyjny artykuł sowieckiego publicysty. — Ścisła współpraca Niemiec z Sowietami. — Tajne układy. — Rewelacje niemieckiego posta socjalistycznego Künstlera.

W pierwszej dekadzie b. m., niemal tegoż samego dnia, na łamach prasy rosyjskiej i niemieckiej pojawiły się niezmiernie ciekawe rewelacje o tajnych zbrojeniach naszego zachodniego sąsiada. Wystąpił z nimi, jeśli chodzi o prasę sowiecką, „towarzysz” Riabinin, na łamach skontiskowanego niezwłocznie w ZSRR tygodnika „Ogoniok”. P. Riabinin, z uwagi na długoletnie zażyłe stosunki niemiecko - sowieckie, miał niewątpliwie dostęp do tych wszystkich źródeł, jakie przed baczną uwagą prasy cudzoziemskiej ukrywają zazdrośnie misterne akcesorya wojskowego „kamufażu”; fakt zaś, iż ów zeszyt z artykułem p. Riabinina skontiskowano niezwłocznie, powinien nam potwierdzić najzupełniej domyślnie, że dane przezeń przytoczone odpowiadają istocie rzeczy, a wydobycie ich na jaw nie na rękę było zapewne czynnikiem decydującym w „rozbrojonym” Związku, najściślej współpracującym z „rozbrojoną” również Rzeszą. Dodajmy wreszcie, iż rzeczowy ów i naprawdę wyczerpujący artykuł zawiera materiał najzupełniej zgodny z tem, co różnemi czasy przesączało się ułamkowo na łamy prasy europejskiej. Czyta się więc to, jako rzeczy znane już i nie nowe, ale teraz dopiero ma się obraz szczególnie wyrazisty, dający nam najdokładniejsze pojęcie o tem, czem jest w istocie rzeczy owa siła zbrojna zdemilitaryzowanych pod międzysojuszniczą kontrolą, „pokojowo-myślących” Niemiec.

Liczebnie więc siła owa, ściśle określona klauzulami traktatu wersalskiego, nie wzrasta zupełnie; liczy ona zawsze 100.000 regularnego żołnierza, ale kosztuje coraz więcej z roku na rok, bo w r. 1924 wydatkowano na nią 450.7 milionów marek, w r. 1925 — 564.4 milj. mk., w r. 1926 — 676 milj., wreszcie w r. 1927 — 689.8. Wzrost wydatków w r. ub.

wynosił więc w stosunku do r. 1924 „tylko” 239.1 milj. mk., t. zn. grubo powyżej 50%. Podobny objaw widzimy również w wydatkach marynarki wojennej, które w r. 1924 wyniosły 7.8 milj. mk., w r. 1925 — 33.5 milj., w r. 1926 — 54.1 milj. mk., w r. 1927 wreszcie 57.6 milj. mk. Różnica polegałaby na tem jedynie, że wzrost wydatków, przypadających na dwa zestawione powyżej lata, wynosi tu nie zgórą 50 lecz 700%! Że Niemcy rozpoczęły obecnie budowę pancernika „A”, która wpłynie niewątpliwie na ponowną i to znaczną zapewne zwyżkę budżetu niemieckiej marynarki wojennej — o tem p. Riabinin nie wspomina zupełnie, posługując się materiałem jedynie za okresy ubiegłe.

Zwraca natomiast uwagę na szczegóły dla każdego obeznanego z wojskowością ważny naprawdę i istotny, jakim jest stosunek liczby szeregowców do liczby podoficerów i oficerów w szeregach. Stosunek ten — według p. Riabinina — w Reichswerze jest następujący: na 6 szeregowców przypada 1 podoficer, na każdych 12 — 1 sierżant, na każdych 16 — 1 oficer; dalej na 300 szeregowców wypada 1 pułkownik; całość wreszcie, licząca 100.000, w składzie swym posiada 46 generałów. Marynarka wojenna Rzeszy, nie przenosząca ogółem 15.000, liczy 9.935 szeregowców przy 3.725 podoficerach i 1.254 oficerach.

Jest to więc, jak podkreśla p. Riabinin, typowa kadra przyszłej wielkiej armji (podkreślenie autora), tem sprawniejsza — dodajmy od siebie, — że nawet szeregowcy, jacy w niej służą, naogół stary żołnierz, wyćwiczony w trudach wojennych, stanowią wyborny materiał podoficerski, nie awansujący jedynie ze względu na konieczność posiadania pewnej liczby szeregowców — choćby tylko dla zachowania pozorów. Kadrę tą uzupełniają przytem t. zw. „ciche” — jak je p. Riabinin nazywa — rezerwy, a więc związki o najróżnorodniejszych nazwach i zawodaniach, które obecnie „wbrew dawnej polityce pierwszych lat powojennych podporządkowane są całkowicie ministerstwu Reichswery i uważane są przez nie za uzupełniającą rezerwę”.

Związki te p. Riabinin wylicza bardzo szczegółowo, wymieniając dokładnie ich skład i siły, a wreszcie podsumowawszy wszystkie dane cyfrowe, otrzymuje w ostatecznym wyniku 6 milionów rezerwistów, w tem 3 miliony wyszkolonego żołnierza

i 131.800 oficerów. „Wprawdzie niektóre z tych związków oficjalnie zostały zlikwidowane — dodaje sowiecki publicysta — ale nawet gdyby cyfry, przytoczone powyżej były na obecną chwilę przesadzone, wniósłby się w każdym razie liczyć z miljonową rezerwą, będącą w rozporządzeniu niemieckiego ministerstwa spraw wojskowych.”

Jeśli mówi się naogół, że w przyszłej wojnie grać będą rolę najważniejszą nie siły ludzkie, lecz przede wszystkim przemysł chemiczny i lotniczy — to i o tym szczególnie nie zapomniał p. Riabinin. Przytacza węc, że Niemcy, którym traktatem wersalskim wzbroniono posiadania lotnictwa wojskowego, mają przecież lotnictwo cywilne, a to — jakżeśmy już wspomnieli o tem na łamach naszego dziennika — może być każdej chwili dostosowane do potrzeb wojennych. Ostatnie numery rejestracyjne tych cywilnych aparatów lotniczych przekraczają cyfrę 1.500, z czego p. Riabinin słusznie wnosi, że Niemcy posiadają obecnie nie mniej niż 1.000 zdolnych do użytku samolotów i tyluż wyćwiczonych zawodowo lotników. Wydatki oficjalne państwa na rozwój lotnictwa cywilnego wynoszą wprawdzie zaledwie 50 milj. mk., ale jakich kwot sięgają subwencje poszczególnych krajów związkowych i samorządów miejskich — tego już nawet publicysta sowiecki nie jest nam w stanie powiedzieć; przypuszcza on jedynie, iż cyfrą minimalną w danym wypadku jest 100 milionów marek.

Swój niezmiernie interesujący artykuł kończy p. Riabinin stwierdzeniem, że przytoczone przezeń fakty mówią o nieustannem, intensywnem przygotowywaniu się niemieckich sfer rządzących do wojny. Zdumiewa się też publicysta sowiecki, że państwo zwyciężone, jakim jest Rzesza, poddane początkowo kontroli międzysojuszniczej a obecnie obserwacji doradców amerykańskich, zdołało skupić mimo wszystko tak niesłychanie potężne środki wojenne, dowodząc tem niewygasłej energii militarystyki niemieckiej, który dawno już przekroczył „normy przedwojenne” a — zdaniem fachowców wojskowych — na rozwinięcie wszystkich swych zasobów wojennych potrzebują zaledwie 4 miesiące.

* * *

Tyle w pobieżnym streszczeniu dowiedzieliśmy się z artykułu p. Riabinina, doskonale poinformowanego publicysty sowieckiego, którego nie sposób pomówić o przejawianie zbrojeń niemieckich, jak uczyniłby to mógł publicysta któregośkolwiek z narodów, uważanych przez Rzeszę za wrogi sobie, a więc skłonny do rzucania bezzasadnych oskarżeń.

Rzecz szczególna, artykuł p. Riabinina, zbiegł się niemal w czasie z rewelacjami posła socjalistycznego do parlamentu Rzeszy Künstlera, który na łamach partyjnego „Vorwärtsu” zaczął mówić niedawno o ścisłej współpracy pomiędzy rządem Rosji sowieckiej a władzami Reichswery. W pierwszym ze swych artykułów poseł Künstler podał autentyczny tekst umowy, zawartej dn. 15 marca 1922 r. pomiędzy jakąś tajemniczą „Sondergruppe” a równie tajemniczą firmą „N. N.”, a dotyczącej wyrobu „skrzyń” niezwłocznie po porozumieniu z „R. R.”; w umowie tej przewidziano — dodajmy — niewzłó-

czną wypłatę 40 milionów mk. papierowych i 100 milionów r. m. w d. 1 kwietnia 1922 r.

Umowa ta istotnie wydałaby się mogła tajemniczą, ale poseł Künstler zdziera z niej mgliste zasłony, wyjaśniając istotne znaczenie wszystkich „pseudonimów”. Owa więc „Sondergruppe” jest ministerstwo Reichswery; „firmą N. N.” — profesor Junkers, znany, jak wiemy, konstruktor samolotów tego typu; tajemniczymi „skrzyniami” są aeroplany, „R. R.” — to rząd rosyjski czyli w oryginale „Russische Regierung”; wreszcie podpisanym pod unową niejakim Neumannem jest major Niedermayer, a podpisującym za firmę „N. N.” Sigsfeldt'em — p. Sachsenberg.

Tak brzmią pierwsze z przytoczonych przez posła Künstlera dokumentów, który stwierdza, że celem owej współpracy pomiędzy ministerstwem Reichswery a firmą Junkersa było zorganizowanie w Rosji sowieckiej fabryki samolotów i silników oraz stworzenie najważniejszego z przemysłów wojennych, a mianowicie budowę fabryk gazów trujących w Trocku w gub. samarskiej. Poseł Künstler mówi dalej o przeznaczonym na te cele miliardzie marek papierowych, co podówczas równało się 21 milj. mk. w złocie, stwierdzając w dalszych swych rewelacjach, że po dłuższych pertraktacjach z rządem sowieckim nastąpił w lutym r. 1923 formalny układ, ratyfikowany przez Radę komisarzy ludowych, a przewidujący, że fabryka Junkersa w Rosji produkować będzie rocznie 300 samolotów, z czego 20% t. j. 60 aparatów na użytek Z. S. R. R., reszta zaś, a więc 240 — na użytek niemieckiej siły zbrojnej.

Pomińmy dalej bliższe szczegóły tych rewelacji jak i motywy, skłaniające posła Künstlera do ogłoszenia ich drukiem. O tajnej współpracy niemiecko-sowieckiej w dziedzinie zbrojeń niejednokrotnie już była mowa, choć może nigdy dotychczas opinia europejska nie była w posiadaniu dokumentów tak bezwzględnie niezbitych i niezaprzeczalnych.

A właśnie ze względu na ten ich charakter wartyby zestawić, zarówno to, co mówi o zbrojeniach niemieckich wytrawny publicysta sowiecki, jak i to, co o współpracy niemiecko-sowieckiej na polu zbrojeń podaje socjalistyczny poseł do parlamentu Rzeszy — z temi wszystkimi deklamacjami niemieckich mężów stanu na temat rozbrojenia, jakie świat cywilizowany zmuszony był wysłuchiwać zwłaszcza w czasie obrad genewskich. Przy każdej bezwzględnie sposobności, kto żyw w Niemczech mówi tak głośno, by go cały świat posłyszał, o nieszczęsnej, rozbrojonej Rzeszy, stawia ją niemal za wzór, za ideał dążeń pacyfistycznych, krzykliwie domagając się wycofania wojsk okupacyjnych z prowincji nadreńskich właśnie na zasadzie owego bezwzględnego rozbrojenia Niemiec. Wreszcie pomawia się sąsiadów z lewa i z prawa o zakusy imperjalistyczne, o nigdy nienasycone rzekomo apetyty dzwoniącego w szable militarystyki.

Czyni się z tego wszystkiego niezmiernie pomyślowy parawan wojskowego kamuflażu, którego rąbek uchylili pp. Riabinin czy Künstler.

Poczytać im to należy za niewątpliwą zasługę.

St. Poraj

TAJEMNICA WSCHODU

Czy wiemy, co to jest Wschód? Nie mówimy już o tym wschodzie, dalekim, o Chinach, Japoni, ani nawet o tym, który opisuje Grąbczewski, nie mówimy o Piramidach i Hindukuszu, gdzie pełen werwy Amanullah z niestabną konsekwencją prowadzi politykę swych przodków, zasilając bronią płamioną górskie w granicach sowieckiego imperjum i zagrożając mu w ten sposób aż po sam Tazkent i dalej, skąd w obawie przed nimi tak daremnie usiłuje wydostać się Trocki. Nie, nie o tych dalekich, a tak niezmiernie interesujących krajach mówimy — wystarczy spojrzeć dokładniej na Rosję Europejską, aby cośkolwiek się zastanowić i — przekonać, że nieco więcej uwagi musimy poświęcić tym sprawom. Bo Rosja dziś nie jest bynajmniej tem, czem była wtedy, gdy tak wielu Polaków prowadziło tam swoje interesy, gdy wielu zajmowało tam stanowiska w wojsku, lub w urzędach. Bolszewizm rozbił ją na szereg „wiązkowych republik”, a tego rodzaju rzeczy nie mogą przetrwać bez śladu. Pośród narodów sąsiadującego z nami terytorjum zostały rozbudzone ambicje lokalne, terytorjalne, plemienne, czy narodowe i poczęły się dążenia odśrodkowe, rosnące zwolna, ale stale.

W niektórych miejscach dążenia te znalazły mocniejszy wyraz. Na Ukrainie coraz to częściej widzimy, jak rząd centralny odrobiłby chciał dzieło podjęte, jak cofa te czy inne koncesje. Z krajów azjatyckich rzadko wieść jakaś dochodzi, ale i tam słychać ciągle o represjach w stosunku do budzących się ruchów narodowych, o usuwaniu przez Sowietów zbyt dosłownie rozumiejących „prawo do samookreślenia” działaczy, a nawet o protestach przeciwko tego rodzaju wystąpieniom władzy.

Pięćdziesiąt kilka narodowości zamieszkuje obszar Rad — a każda z nich ma conajmniej kilka szkół, odbywa jakieś zgromadzenia, na których przemawiają w języku zrozumiałym na miejscu. I mimowoli powstaje pytanie, co z tego będzie? Ale w danym razie nie o odpowiedź nam chodzi. Czy Rosja przejdzie jeszcze jakąś przemianę wewnętrzną, czy powróci w takim czy innym stopniu do tego, co było przed wojną, czy parcie od wewnątrz rozsądzi ją na państwa i państewka zupełnie, lub półsamostne — to dziś dla nas może być przedmiotem najwyżej domysłów. Pewnem jest jedno, że ten olbrzymi szmat świata nie będzie mógł przez czas dłuższy pozostawać w odosobnieniu, że będzie musiał koniec końców znaleźć jakieś warunki współżycia z innymi narodami, a wtedy i my nie będziemy mogli trwać w dotychczasowej rezerwie — a przedewszystkiem w tak gruntownej niewiedzy, o tem, co się tam dzieje. Wtedy przypadnie nam z natury rzeczy rola pośredników pomiędzy Wschodem i Zachodem, która nie może w naszym własnym interesie kończyć się na przewożeniu pociągów tranzytowych. Rola ta tem więcej nam i naszym sąsiadom pożytku przyniesie im bardziej będzie świadoma swego celu, im więcej posiadać będziemy znajomości terenów wschodnich, o których dziś nikt z nas nieomal po-

jęcia nie ma — i w większości wyjątków mieć nie chce.

Niedawno właśnie mogliśmy się dowodnie przekonać o tem w rozmowie z sekretarzem generalnym naszego Instytutu Wschodniego p. S. Korwin-Pawłowskiem. Placówka to dziś jeszcze skromna pod względem sił i zasobów, jakimi rozporządza. Daleko jej do organizacyjnej i finansowej doskonałości tego rodzaju zakładów zagranicą, w których kształci się setki osób, gdzie specjalizują się całe zastępy urzędników i wojskowych. A jednak placówka ta, być może, stoi wyżej, od niejednego pokrewnego jej zakładu naukowego zagranicą, jeżeli chodzi o wiedzę o najbliższym wschodzie. Grupaie ona pod tym względem pierwszorzędnym specjalistów, którzy nie tylko uczyli się, ale poznali doskonale terytorjum, o którym mowa.

Instytut ten zasługuje na większą uwagę nie tylko szerokich warstw społeczeństwa, ale, i to przede wszystkim, ze strony władz. Dla nas, dla naszego rządu nie może być obojętną sprawą, czy urzędnicy dostatecznie znają naszego sąsiada, czy nie. Potrzebujemy zarówno w służbie cywilnej, jak i wojskowej specjalistów w tej dziedzinie. Otóż mamy nadzieję, że czynniki międzynarodowe zechcą przestudować sprawę, czy nie należało, przykładem innych krajów, dać pewne prerogatywy tym urzędnikom i oficerom, którzy ukończą Instytut Wschodni. Prerogatywy nie mogą kończyć się oczywiście na uprawieniach do pełnienia takiej czy innej służby, ale nadać pewne prawa do awansu, starszeństwa i t. d. Drugą sprawą to rozwinięcie naszego Instytutu, i powiązanie go z tego rodzaju placówkami zagranicą.

Wiemy doskonale, że co rok udaje się zagranicę na studia nad sprawami wschodnimi pewna ilość młodzieży. Część jej korzysta ze stypendiów państwowych. Jest to rzecz zupełnie słuszną i uzasadnioną. Byłoby jednak rzeczą ze wszechmiar wskazaną, aby przynajmniej stypendvści rządowi rozpoczynali swe studia u nas, w Warszawie, aby wwieźdźając, zabierali ze sobą maximum bagażu naukowego jaki im w tej dziedzinie dać możemy. Nie tylko praktyczne względy tu grają rolę. Chodzi przede wszystkim o rozwój placówki tak niezbędnej dla naszego życia, placówki, która, pomimo wielkiej obojętności ogółu — coraz więcej sił żywotnych manifestuje.

A. Uziębło.

ORGANIZACJA BIBLIOTEK PUBLICZNYCH W CZECHOSŁOWACJI

(Dokończenie).

Jak jest przeprowadzona organizacja bibliotek publicznych i na jakich funduszach się opiera?

Otóż została przeprowadzona zasada zupełnej decentralizacji sieci bibliotek. Każda nawet najmniejsza gmina musi założyć bibliotekę stałą; biblioteki ruchome zaś nie uzyskały większego rozpowszechnienia. Sprawa ta jest szeroko dyskutowana i opinie rzeczoznawców są zwykłe

rozbieżne. Nie ulega jednak wątpliwości, że gminy małe nie są w stanie utrzymać biblioteki stałej, zaopatrzonej w odpowiednią liczbę książek. Tymczasem większość gmin w Czechosłowacji są to gminy małe: 93,5 proc. są to gminy zamieszkałe od 500 do 2000 mieszkańców. Gminy te nie są przeważnie w stanie opłacić bibliotekarza, na czem wielce cierpi wartość pracy biblioteki. Przeprowadzenie zaś zasady bibl. ruchomych dla małych gmin choć podniosłoby koszty administracji — dałoby w rezultacie lepsze wykorzystanie materiału książkowego.

Sprawami każdej biblioteki zajmował się Komitet biblioteczny, złożony z przedstawicieli organizacji oświatowych oraz przedstawicieli samorządu gminnego. Bezpośrednio zaś kieruje sprawami zaangażowany przez Komitet pracownik, który wchodzi do Komitetu z głosem doradczym.

Nad bibl. w małych gminach czuwają Powiatowe komitety oświatowe, nad dużymi (w gminach wyżej 2 tys. mieszkańców) roztacza opiekę bezpośrednio Ministerstwo Oświaty jednocząc również kierownictwo nad mniejszymi bibliotekami przez pośrednictwo Powiatowych Komitetów Oświatowych.

Utrzymanie bibl. publicznych całkowicie powierzono jest gminom; państwo przychodzi z pomocą gminom biedniejszym, wydatkuje na to około jednej dziesiątej tego co dają gminy.

Ustawa nie nałożyła żadnego specjalnego podatku na cele bibl. publicznych, lecz nakłada obowiązek na gminę do wydatkowania rocznie pewnej sumy w zależności od liczby mieszkańców w gminie. A więc małe gminy płacą mniej począwszy od 30 halerzy, większe gminy 50, 60, 70 aż do 80 halerzy od 1 mieszkańca.

Jest to ustawowe minimum i każda gmina może wydatkować więcej w miarę możliwości. Są przykłady np. gminy Beron która wydaje na utrzymanie swej bibl. 10 razy więcej niż przewiduje ustawa. Istnie wydatki przekraczają dość znacznie przewidziane minimum tak, że całość wydatków na bibl. publiczne wynosi 16 milionów koron rocznie (około 420 tysięcy złotych).

Oprócz zasiłków państwa ministerstwo oświaty łoży na utrzymanie szkół i kursów bibliotekarskich, nadzoruje działalność gmin przy pomocy specjalnych instruktorów.

Wielkie usługi oddają bibliotekom centrale zaopatrywania zorganizowane w tym celu przez instytucje oświatowe dla każdej narodowości. Centrale te zajmują się oceną książek dla bibl. publicznych, pośrednictwem w zakupie, uzyskując rabat jako księgarnia zarejestrowana, dostarczają za pewną opłatą wszystkie urządzenia techniczne potrzebne dla bibl. publ. a więc kartki katalogowe, zeszyty kontrolne, inwentarz, szafki lub półki — jednym słowem wszystko, co dla dobrego funkcjonowania biblioteki jest niezbędne.

Znaczenie takich central jest niezmiernie wielkie, gdyż ułatwia pracę bibliotekom, wskazuje im dzieła wartościowe, daje im z rabatem książkę należycie oprowianą, czasem nawet, jak np. centrala zaopatrywania bibl. na Słowacji, daje książkę skatalogowaną i zaopatrzoną w sygnatury biblioteczne. W ten sposób upraszcza się znacznie robota i bibliotekarz otrzymuje od razu materiał książkowy gotowy do wypożyczenia.

Zyskuje się w ten sposób olbrzymią oszczędność pracy, bo właśnie praca biblioteczna nadaje się jaknajlepiej do zcentralizowania.

Jednakże korzystanie z central nie jest przymusowe. Pozwala to bibliotekom rozwijać się odrębnie, jeśli którą z nich na taką odrębność stać. Nie tworzy się szablonu w doborze książek i nie narzuca się zbyt szczegółowych norm i prawideł w prowadzeniu biblioteki, krępujących inicjatywę bibliotekarza i Komitetu Bibliotecznego. Powierzenie sprawy zaopatrywania bibliotek publicznych stowarzyszeniom oświatowym — to jest instytucjom społecznym, a nie stworzonemu w tym celu organowi administracyjnemu dało w Czechosłowacji rzeczywiście bardzo dobre rezultaty.

Ciekawym jest fakt, że centrale takie są odrębne dla każdej narodowości, wchodzącej w skład republiki Czechosłowackiej.

Jest to rezultat nadzwyczaj liberalnej polityki względem mniejszości narodowych, których w republice Czechosłowackiej jest tak znaczny procent. Nigdzie nie jest tamowany swobodny rozwój kulturalny tych mniejszości, a nawet tak zaognione niegdyś stosunki czesko-polskie na Śląsku poprawiają się obecnie i układają na gruncie wzajemnego zrozumienia.

W organizacji bibliotek publicznych przeprowadzono zupełnie oddzielenie spraw bibl. poszczególnych narodowości. W miejscowościach gdzie zamieszkują mniejszości narodowe w liczbie 400 osób lub posiadają szkołę powszechną — gminy mają obowiązek założyć dla tej mniejszości specjalną bibliotekę lub też specjalny oddział przy bibliotece ogólnej pod kierunkiem zupełnie oddzielnego Komitetu Bibliotecznego. W rezultacie każda narodowość ma także bibl. jakie zdołała sobie wybudować, posiadając na nią fundusze ściśle wyznaczone przez ustawę a więc w zależności od liczby mieszkańców danej narodowości.

Jest to może niezupełnie wskazane z punktu widzenia bibliotekarza, który dążyłby do zorganizowania *jednej* sieci bibliotecznej w całym kraju, wyzyskując w ten sposób korzyści jakie może dać centralizacja — lecz względy natury politycznej zdecydowały na korzyść takiego ujęcia sprawy bibliotek mniejszości narodowych.

Unika się w ten sposób tarć i nieporozumień w pracy w obrębie gminy zamieszkiwanej przez różne narodowości. Naturalnie przeprowadza się kontrolę państwową czy praca w bibliotece jest odpowiednio prowadzona, czy dobór literatury nie jest zrobiony tendencyjnie.

Tego rodzaju postawienie sprawy dało w Czechosłowacji wyniki nadzwyczaj dodatnie. Usunięty został grunt na którym mogłyby rozwinąć się tarcia. Gmina jest obowiązana dać odpowiednią kwotę na bibl. mniejszości narodowych i władza państwowa sprawuje nadzór nad tem, ażeby postanowienie to było wszędzie wykonane.

Dziś istnieje na 14.755 bibliotek w Czechosłowacji 10.838 bibl. madziarskich, 292 bibl. rusińskie, wreszcie 43 bibl. polskie.

Są to w stosunku do liczby ludności w każdej z tych narodowości — cyfry wymownie świadczące o swobodzie rozwoju kulturalnego każdej z mniejszości narodowych. Mają one biblioteki prowadzone odrębnie i drogą współzawodnictwa podnosi się ich poziom. Jest to dobrze pojęte zadowolenie potrzeb ludności miejscowej, danie jej do ręki książki w tym języku w jakim ją najlepiej rozumie i odczuje. Naturalną jest rzeczą, że nad jakością książek wchodzących do księgozbioru bibliotek jest rozciągnięty stały dozór. Przepisowo każda biblioteka powinna

posiadać conajmniej 20% literatury naukowej. Nie mogą zaś wchodzić do księgozbioru: dzieła bezwartościowe, utwory pornograficzne, opowiadania o krwawych przygodach indjan o zbrodniach i wszystkie te dzieła, które w formie sensacyjnej drażnią fantazję czytelnika: pamflety obniżające tendencyjnie pewne warstwy narodu jak również dzieła zmierzające do obalenia całości państwa Czechosłowackiego.

Ministerstwo Oświaty ma zastrzeżone prawo publikowania spisu utworów, które należy wyłączyć z księgozbiorów bibl. publicznych.

Nie zajmuje się zaś Ministerstwo opracowaniem spisów, książek poleconych, pozostawiając to, jak już była mowa, stowarzyszeniom oświatowym, które tworzą w tym celu specjalne komisje oceny książek.

Wybór książek należy w zasadzie do Komitetu Bibliotecznego; odpowiedni wniosek składa bibliotekarz stosując się do zainteresowań czytelników i do ich potrzeb. To zaś decyduje o olbrzymiej frekwencji bibl. publicznych w Czechosłowacji, to właśnie daje tę imponującą cyfrę 1,3½ miliona wypożyczeń rocznie i 867 czytelników bibliotek publicznych. I chociaż zapotrzebowanie na książki naukowe jest dziś w stosunku do literatury beletrystycznej bardzo nieznaczne — wyniki pracy bibl. publicznych należy oceniać bardzo wysoko. Czytając powieści może przeciętny czytelnik nauczyć się korzystania z książki, będzie przyciągnięty jakby przez książkę w świat słowa drukowanego otwierając przed nim czasami możliwości poważnego samokształcenia.

Przystosowanie księgozbioru do potrzeb ludności, stworzenie bibl. żywej nie zaś składu nikomu niepotrzebnych książek — oto co stawia sobie za zadanie bibliotekarz czechosłowacki.

Dążenia te, dziś jeszcze niezupełnie zrealizowane, w Czechosłowacji nadają pracy bibliotecznej szczególną wartość i znaczenie, stwarzając z każdej biblioteki ognisko pracy oświatowej — jej podstawę oraz wykończenie.

Doświadczenia czeskie mają dla Polski pierwszorzędne znaczenie. Wykazały one że:

1) biblioteka jest podstawą oświaty pozaszkolnej i ogniskować powinna pracę kulturalno-oświatową na terenie wsi lub miasta;

2) Jedyne rozstrzygnięcie sprawy organizacji bibliotek w drodze specjalnej ustawy da możliwość zadawalającego rozwoju bibl. publ. w kraju.

3) oparcie istnienia biblioteki na przymusowych świadczeniach gminy w zależności od liczby mieszkańców jest jedynie celowym załatwieniem sprawy.

4) ustawa nie hamuje inicjatywy społecznej a przeciwnie dopiero po ustawowym uregulowaniu tej sprawy społeczeństwo ma możliwość wydajnej pracy nad organizacją bibl. publ. biorąc udział w Komitetach bibliotecznych, czy też zajmując się organizacją central zakupów dla bibliotek.

Wreszcie, że od dobrej organizacji central bibliotecznych, organizacji kontroli i nadzoru zależy w dużej mierze sprawność aparatu bibliotecznego.

Doświadczeniem również dla nas cennym będzie przekonanie, że jednym z najważniejszych czynników warunkujących dobrą organizację bibliotek jest to odpowiedni, wykształcony ogólnie i specjalnie, a świadomy swojego zadania — bibliotekarz.

Doświadczenia te są dla nas tembardziej cenne, gdyż omawiany jest obecnie projekt wprowadzenia w Polsce ustawy bibliotecznej dającej podstawę materialną istnienia tych bibliotek, które dziś organizowane wysiłkami stowarzyszeń oświatowych nie mają możliwości spełnić tej roli, która im przyspaść powinna.

J. Filipkowska-Saemplińska.

NOWE MOŻLIWOŚCI W AMERYCE POŁUDNIOWEJ DLA EKSPORTU I EMIGRACJI POLSKIEJ

*(Prezydent J. V. Gomes mężem opatrnościowym
Wenezueli).*

Od kilku miesięcy, po powrocie do kraju z Ameryki Południowej, spostrzegam, że wiadomości w Polsce o tamtejszych republikach są równie nikłe i mylne, jak wiadomości mieszkańców tych republik o Polsce. Tymczasem na wzajemnym poznaniu i zbliżeniu się, choćby tylko pod względem handlowym, wiele obustronnie byłoby do zyskania, bo przy koniecznych zakupach do Polski, możnaby uniknąć pośrednictwa obcych, w szczególności Niemiec, a także w niemniejszym stopniu Anglii i Holandji. W ciągu lat 4-ch przebywałem we wszystkich republikach południowo-amerykańskich, w Brazylii, Meksyku, Chili, Argentynie, Peru, a ostatnio najdłużej, bo więcej niż rok, w republice Wenezueli.

Wrażenia z pobytu w Wenezueli mogą streścić tylko w słowie: — zachwyt.

Przedewszystkiem klimat, który w południowo-amerykańskim kraju bywa plagą i torturą mieszkańców, tam dzięki sąsiedztwu z Atlantykiem i nizinnemu położeniu, łagodny jest i słodki. Temperatura nie przekracza 20-stu stopni Celsjusza, a świeży oddech morza czyni pobyt tak miłym i zdrowym, że któryś publicysta angielski nazwał Wenezuelę „naturalnem sanatorium”. Kraina to mlekiem i miodem płynąca, bo klimat powoduje bujną roślinność, obfitość plodów naturalnych i co za tem idzie łatwość i taniość życia codziennego. Jedyną bolączką tego państwa jest niedostarczające zaludnienie, wobec czego imigracja naszych rąk roboczych miałaby pożądane i szerokie pole zbytu.

Wzrastający rozwój i dobrobyt republiki datuje się od lat 20-tu, od czasu rządów Prezydenta J. V. Gomeza. Brak słów na wypowiedzenie czci i miłości, jaką ludność otacza osobę prezydenta. W okresie zaburzeń i walk stronnictw, gdy kraj zdawał się staczać w przepaść anarchji i bankructwa, on, J. V. Gomez, wówczas dowódca wojsk narodowych ujął władzę. Było to znacznie przed pojawieniem się na horyzoncie dziejów dyktatora Włoch, Benito Mussoliniego, co prasa amerykańska niejednokrotnie zaznacza uważając J. V. Gomeza za pierwszego i istotnego twórcę idei państwowych, które o wiele później znalazły zastosowanie w Italji. Poza twórczością w sferze polityki jest J. V. Gomez indywidualnością

równie jak Mussolini genialną i wybitną. Tylko geniusz mógł opanować te ciężkie warunki ekonomiczne, w jakich Wenezuela znalazła się po wielu wewnętrznych wstrząszeniach i skonsolidować je, ustalić ład i panowanie prawa, zapewnić bezpieczeństwo osobiste i pokój i dobrobyt. Tak, jak okazał się przewidującym wodzem wojsk, tak samo rozumnym gospodarzem. Świetnymi operacjami finansowymi spłacił długi państwa, ustabilizował walutę, a zarazem rozwinął przemysł, głównie kopalniany i eksportowy przemysł naftiany, tak że dziś tamtejsza produkcja ropy prześcignęła inne państwa, łącznie z Meksykiem i Rosją, i wysunęła się po Stanach Zjednoczonych na pierwsze miejsce. Określenie rozwoju z doków portowych płody kraju po szerokim świecie, przestrzenie ziemi przecinają liczne tory kolejowe i gościńce dla ruchu automobili pasażerskich i towarowych. Jeśli jednak Wenezuela z temperamentem właściwym młodym narodom odrodziła się z popiołów, to zawdzięcza to genialnej myśli i niespożytej energii Gomeza. Niejako żywym symbolem i pomnikiem potęgi umysłu Gomeza jest

z jego inicjatywy wykuta w skałach droga ze stolicy Caracas do portu La Guaira na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Dzieło nieporównane, godne starożytnych egipskich piramid.

On, ten mąż opatrnościowy i bohater, „Cezar demokratyczny”, stworzył nową Wenezuelę, i może z swej uroczej posiadłości Maracay czy z stolicy Caracas, dumnie i ufnie poglądać w przyszłość swego narodu.

Ten nadzwyczajny rozwój Wenezueli, kraju choć geograficznie tak odległego od Polski, może jednak, jak wspomniałam, mieć doniosłe znaczenie i dla nas, dla robotczej emigracji Polski. Warunki imigracji do Wenezueli przedstawiają się, dzięki rządowi Gomeza, o wiele korzystniej, niż w innych krajach Ameryk Południowej i Północnej. Obecnie zaś robotnik polski zaczyna być w Ameryce coraz więcej ceniony, a potentat Stanów Zjednoczonych fabrykant Ford w swej znanej książce oddaje emigracji polskiej pełny i niemal entuzjastyczny wyraz uznania.

Dr. Radwan Pragłowski

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

SZKOŁA KSIĘGARSKA

Rola i stanowisko księgarstwa w wytwarzaniu i krzewieniu wartości kulturalnych nie są u nas jeszcze określone dosyć wyranie i ściśle. Nadmiernemu przecenianiu zasług i znaczenia stanu księgarskiego przez jednych — odpowiada niechętny, lub nawet wrogi stosunek innych, skąd wynikają ciągle nieporozumienia, starcia i spory, niby jaskrawe plamy na szarem tle obojętności powszechnej. Niema w tem nic dziwnego: dziedziną książki jest terenem, na którym stykają się z sobą interesy materialne wielkiego zastępu pracowników różnych zawodów, począwszy od twórczości naukowej i literackiej, kończąc zaś na czynnościach mechanicznych reprodukcji maszynowej. Ci, którzy z książki żyją, nie mogą traktować jej wyłącznie jako wykładnika wartości duchowych, gdyż jest ona dla nich nadto przedmiotem wytwarzania i handlu — towarem. Taki stosunek do rzeczy narzuca strukturę współczesnego życia gospodarczego zarówno twórcom piśmiennictwa, jak maszynistom drukarskim, introligatorom i księgarzom.

Ze wszystkich jednak czynników, biorących udział w wytwarzaniu książki i rozpowszechnianiu jej, stanowisko najbardziej eksponowane wobec opinii publicznej zajmuje księgarstwo — ostatnie ogniwo w łańcuchu przemian, których doznaje myśl twórcza, zanim w swej skończonej, zrealizowanej formie dostanie się do rąk czytelnika. To też w rozważaniach na temat tzw. „kryzysu książki” zapomina się zbyt pochopnie o wszystkich innych ogniach tego łańcucha, jak papiernictwo, drukarstwo, introligatorstwo i szereg gałęzi

pomocniczych. Nadmierne zyski ciągnie też z książki państwo, obciążając ją znacznym podatkiem obrotowym we wszystkich fazach wytwórczości i sprzedaży, urastającym do ogromnych rozmiarów w stosunku do wartości gotowego już produktu. Najmniej stosunkowo zarabia na książce ten, kto ją napisał... Coprawda w działach literatury pięknej i podręczników szkolnych warunki pracy autorskiej poprawiły się bardzo znacznie, natomiast piśmiennictwo naukowe, obarczone kłatwą niepoczytności, nie zanika u nas tylko dzięki pełnej poświęcenia, ofiarnej pracy nie dających się niczem zrazić badaczy.

Jakkolwiek nie podzielam znanego zdania, że „najłatwiej jest książkę napisać, trudniej jest ją wydać, najtrudniej zaś sprzedać”, zwłaszcza gdy chodzi o dobre książki, — to jednak muszę przyznać, iż sprzedanie książki jest rzeczą wcale niełatwą. Wszak handlowanie wszelkim, najpospolitszym nawet towarem uznane jest już oddawna za umiejętność, którą można posiadać w większym, lub mniejszym stopniu i której można się nauczyć. Więc cóż mówić dopiero o książce, stanowiącej, obok dzieł sztuki, jeden z najsubtelniejszych, najtrudniejszych do określenia i wartościowania gatunków towaru. Jeżeli zachodzą tak wydatne różnice w sądach krytyków-znawców, nawet w stosunku do zwykłych wytworów literatury dnia codziennego, — to jakże wymagać od ekspedjenta księgarskiego, który posiada z reguły przygotowanie w zakresie szkoły powszechnej, który jest licho płatny i zajęty przez cały dzień pracą zarobkową, ażeby mógł stać się doradcą i pomocnikiem sezrokiej publiczności w wyborze książek?.. Zagadnienie to, drobne napozór, nabiera znaczenia społecznego

wielkiej doniosłości, gdy zważymy, że publiczność z natury rzeczy nie studjuje bibliografji, nie przegląda czasopism specjalnych, nawet nie czyta recenzji w dziennikach (które zresztą stają się coraz większą rzadkością na łamach prasy najpoczytniejszej), — i przeto w wyborze swoim zdana jest całkowicie na łaskę księgarza. Mniej się to może dążyć we znaki w środowiskach wielkomiastkich (których mieszkańcy stanowią jednak bardzo drobną cząsteczkę ludności kraju), gdy natomiast skupienia prowincjonalne, a zwłaszcza wieś, czytają tylko te książki, które są do nabycia w księgarni małomiasteczkowej. Otóż taki księgarz prowincjonalny zasypywany jest przez wydawców wiadomościami o nowych książkach, lecz zakupuje oczywiście tylko te, które w jego przekonaniu mają widoki zbytu. Jeżeli poziom księgarza pozostanie taki, jakim jest obecnie, rozpowszechnienie kultury natrafia tutaj na przeszkodę nie do przewyciężenia. Najznakomitsze nawet dzieło nie znajdzie czytelników, jeżeli olbrzymia, przeważająca część ludności nie dowie się nawet o jego istnieniu. I wtedy księgarz, zajmujący pracówkę, handlową wprawdzie z natury rzeczy, lecz mogącą w danych warunkach zdobyć znaczenie społeczno-kulturalne, księgarz, nie stojący na wysokości zadania, staje się nie krzewicielem wartości duchowych, a zaporą na drodze ich rozpowszechnienia, staje się szkodnikiem, którego przytem jego własne nędzne przedsiębiorstwo, podobne do sklepiku z nieświeżymi wiktuałami, nie zdoła nawet wyżywić. Ileż to jest takich sklepów w Polsce na imponującą pozornie liczbę 1.200 księgarń zarejestrowanych!

Ogół nakładców naszych i sortymentystów, zorganizowany w Związku Księgarzy Polskich, odczuwa od dawna potrzebę podniesienia poziomu uświadomienia zawodowego, czego dowodem jest najpierw polityka rejestracyjna w odniesieniu do nowopowstałych firm, a następnie próby stworzenia warsztatów kształcenia praktykantów i pomocników księgarskich. Na mocy uchwały pierwszego Powszechnego Zjazdu Księgarzy Polskich w Lublinie (1918) utworzono szkołę w Warszawie, która jednak nie mogła przetrwać nawet roku, z różnych przyczyn, których oświetlenie przekroczyłoby ramy tego artykułu. Dalsza próba w tym kierunku, podjęta przez gremjum księgarzy lwowskich (1927), nie powiodła się również, z powodu kolizji, jaka wynikła na tle obowiązku młodszych praktykantów uczęszczania do szkoły handlowej wieczornej.

Dopiero teraz, dzięki zainteresowaniu się tą sprawą władz Wolnej Wszechnicy Polskiej, przy poparciu Dziekana Prof. M. Grotowskiego i Prof. H. Orszy-Radlińskiej, stanął pomiędzy tą instytucją a Związkiem Księgarzy Polskich układ, na którego mocy powstaje przy Wydziale Pedagogicznym zawodowa szkoła księgarska, a mianowicie: Studium Księgarskie i Kursy Księgarskie.

Studjum Księgarskie jest uczelnią dwuletnią wyższą, mającą na celu kształcenie samodzielnych pracowników na polu księgarstwa i przemysłu wydawniczego, poświęcone jest zatem naukowej uprawie przedmiotów, należących do tego zakresu. Od słuchaczy wymagane jest przygotowanie w zakresie szkoły średniej oraz praktyka zawodowa. Po ukończeniu studjów, złożeniu

przepisanych egzaminów i przedstawieniu samodzielnej pracy naukowej, słuchacze uzyskiwać będą dyplomy, umożliwiające im dostęp do stanowisk kierowniczych. Jest nadzieja, że Studium Księgarskie stać się będzie mogło warsztatem do stworzenia polskiej nauki księgarstwa, której nie posiadamy dotąd, nawet w zapoczątkowaniu.

Przy Studium Księgarskim istnieją dwuletnie również Kursy Księgarskie o charakterze dokształcającym, przeznaczone dla pracowników, czynnych już w tym zawodzie. Warunkiem przyjęcia jest tylko wykazanie się roczną przynajmniej praktyką zawodową i zaświadczeniem firmy, w której kandydat pracuje. Z ukończenia Kursów wydawane będą świadectwa, których wartość, pod względem prawnym i praktycznym nosić będzie sankcję ogółu księgarstwa, reprezentowanego w Związku.

Młodzież księgarska, żadna wiedzy specjalnej i pragnąca zdobyć podstawy naukowe w doniałej służbie społecznej powołanych krzewicieli kultury powszechnej nieobojętna też na korzyści praktyczne które obiecuje pogłębienie wykształcenia zawodowego, — odezwała się tak licznie na apel organizatorów, że wszystkie miejsca na Kursach Księgarskich są już zajęte. Chcemy wierzyć, że mamy tu do czynienia nie ze słomianym ogniem jednodniowego porwywu, lecz z objawem uświadomionej, żywej i głębokiej potrzeby. Objaw ten wkłada wielkie obowiązki na kierownictwo i ciało nauczające młodej instytucji, która dążyć będzie niezłomnie do jak najrychlejszego wyjścia z okresu pierwszych, nieudolnych może doświadczeń na drogę stałej, planowej pracy dla przyszłości.

Jan Muszkowski

JA MÓWIĘ....

*Nie jestem prorokiem, bobym przepowiadał,
Jak Izajasz, Judejczyk, lub Mickiewicz w „Dziadach”.
Patrzyłbym przez szpary do sieni Pana Boga,
I mówił wam, po jakich macie chodzić drogach.*

*Nie jestem Whitmanem, bobym mówił do was,
Żem jest syn Manhattanu, świat, płodzący słowa,
Żem jest wieczna gawęda, żem pałac na lodzie,
Żem kapota wytarta, znoszona nacodzień.*

*Nie jestem psem cygańskim, bobym był bez budy,
I chodziłbym tą drogą, którą poszedł Judym;
Byłbym wszywy, z krwawiącą szyją od powroza,
I szczekałbym ochryple w takt skrzypiącym wozom.*

Edward Góra.

SZCZEŚCIE

*Mętnieją wsi akwarele w odbłaskach letniego wieczoru.
Na niebie coraz więcej wydętych, szarych żagli—obłoków.
Odplywa w dal, na horyzont ku sinej kresce borów,
Wgarnia się niemoc kusząca gęstniejącego mroku.*

*Świat jest kopertą nieba i ziemi — dwukolorową,
A w kapliczce zgubionej na rozstajnych drogach,
Jest naiwną farbą malowane Boże słowo,
I pękiem złocieni uczczon wielkość Boga.*

*Matka Boska gipsowa ma niebieski, sztywny płaszcz
I twarz gipsową skąpaną w bolesnych cieniach.
Ktoś przyszedł, klęknął: „Zdrowaś, Ojczy Nasz”
Wiara: len włosów i błękit spojrzenia.*

*Ktoś poszedł z rzewnem zadumaniem w oczach.
W chacie drewnianą łyżką będzie jadł kaszę.
Znika bunt, zaszczepiany w samotnych, mściwych nocach.
Konfesjonal szczęścia, sens: Miłujmy nieprzyjacioly nasze.*

PIEŚŃ O MIŁOŚCI I O KASI

*Żywot wielkim frasunkiem, lecz umiłowanie
słodzi byt ów nieszczęsny, zaprawiając zdrojem
duszę i marne ciało bite niepokojem,
staczące z złą mocą ziemskie bojowanie.
Jak radość wiekuista w biały namiot z Salem
w duszę mądrą wpłynąwszy dobra myśl miłości
boryka się zawzięcie z hetmanem ciemności,
co kruche ciało tocząc, opuszcza je z żalem,
gdy owa myśl zjawiona w serca tajemnicy
Kasię do mnie przywiódłszy, pod długi cień gruszy,
Kazała mi odnaleźć słodki spokój duszy
w różnobarwnych tkaninach i w ciemnej łożnicy.*

Roman Brandstatter.

PIEŚŃ O CIERPIENIU I O WIERZE

*Zbiegła jest rozkosz życia, a ból srogi panem
złudnych włości przyziemnych tego gospodarstwa,
gdzie zło nad złem się kładzie jako skiby warstwa,
ostrych ostów falując nieoranym łanem.
A darń tę, co błam pola żałością napawa
nie wyoram pługami ni sercem użyźnię,
wiedząc, że jedno męka w serdecznej ojczyźnie
obficie ziarno wiary hojną dłonią darwa,
wždy nadzieja, pławaczka boska mnie opłynie
wydźwignięta ku górze cierpienia płomieniem,
co mój żywot doczesny owionie znużeniem,
jak ciało moje spiekieł chłód na bukowinie.*

Lucyna Krzemieniecka-Wolicowa.

PARADOKSALNE LIBRETTO

Podejmowanie głosu w sprawach, jak poniższa jest zadaniem wcale niewdzięcznem: Ludzie wiedzą, iż źle się dzieje w danej dziedzinie, przyzwyczaili się jednak do tego zła. Tyle razy już o niem mówili, — nic nie pomogło, — po cóż mówić raz jeszcze? Tembardziej, gdy owe zło, pozornie nie jest szkodliwe a co najwyżej śmieszne lub współczucia godne?!

Myszę, — rzecz prosta, — o naszej operze Warszawskiej o naszym Teatrze Wielkim o tej największej i może najgorszej teatralno-muzycznej instytucji polskiej.

Czytelnicy Głosu Prawdy Literackiego, którzy, mamy nadzieję (i ja to mówię, ja, radca miejski!) rzadko nawiedzają Teatr Wielki, mogliby zauważyć coprawda, iż sprawa tego teatru mało ich tu obchodzi, na tem miejscu.

Sprawa ta obchodzi przedewszystkiem, sama w sobie, magistrat Warszawy, dokładający tyleto a tyle milionów rocznie do dziwnej naszej operowej imprezy.

Niestety jednak sprawa opery naszej nie może być traktowana sama w sobie, lecz w łączności z wszystkimi innymi kwestjami kulturalno-społecznymi stolicy. Z tego też punktu widzenia musi obchodzić i nas i czytelników naszych i wogóle wszystkich obywateli, którym poziom kultury naszej leży na sercu.

W mieście, w którym pisarze polscy walczą z najskrajniejszą biedą i nędzą, w mieście, w którym całe młode pokolenie prozatorów i poetów zaprzęgåło się i musiało się zaprzęgåć do ciężkiej pracy zarobkowej po urzędach, lub, — do nienawistnej pracy przekładowej, w mieście, w którym tak ciężko bieduje cała brać malarska, w milionowym mieście polskim, gdzie nie można napisać artykułu literackiego rozmiarów 500 wierszy, bo niema takiego artykułu gdzie drukować; słowem, w mieście, w którym rzetelna kultura twórcza i estetyczna walczy z najskrajniejszym niedostatkiem, — nie jest sprawą obojętną rozdział wsparć i kierowanie funduszami społecznymi na odpowiednie cele.

Otóż w tej tak skądinąd biednej Warszawie istnieje nader kosztowna instytucja, zajmująca wspaniałe gmach, instytucja czołowa, która w stosunku do sztuk innych, — literatury, poezji, plastyki, — znajduje się w dysproporcjonalnym zastoj.

Opinia przyzwyczaiła się: Już się utarło, że tak być musi i nie może być inaczej.

Prezes naszych teatrów dyrektor A. Słwiński poruszył ostatnio stare, nieszczęsne mrowisko operowe kwestją konkursu na libretto: Inicjatywa słuszna. Trudno, by jedyna wielka opera polska operowała tak lichymi librettami, — jak to się dotąd dzieje.

W związku jednak z tą słuszną inicjatywą naszych librett nasuwa się kwestja librett starych. Mówmy szczerze, — kwestja tego straszliwego kryminału, pod względem składni językowej i sensu i doboru słów i obrazów i t. d., — jakim posługuje się Teatr Wielki we wszystkich starych operach.

Proszę przesłuchać (czytać tego nie można) Fausta, Aidę, Rustacanę, Violetkę, cały ten potworny nonsens rytmowany! Niema chyba zjadlejszej propagandy złego języka polskiego w całej Polsce.

Skoro odnawia się dekoracje, ćwiczy chóry, odmładza balet, czemuż nie odmłodzić librett?

Wiemy, że teksty takie muszą być uzgadniane ze śpiewakami. Użycie odpowiednich samogłosek na odpowiedniej wysokości partji śpiewanej rozstrzyga niejednokrotnie o wielkich trudnościach dla wykonawcy. Mamy jednak pośród pisarzy, a z wlaszcza poetów, doskonałych muzyków, którzy mogliby objąć redakcję takich tekstów.

Po za sprawą libretta rzecz druga nader ważna z punktu widzenia poziomu kultury miasta. Kultury i zdrowego rozsądku i — ostatecznie, — poziomu, poniżej którego miasto europejskie zejść już nie może.

To, co pod względem dramatycznego widowiska dostajemy w naszej operze od początku bieżącego sezonu znajduje się już poniżej normy przeciętnej. Nie można w Teatrze Narodowym jedną ręką budować kultury widowiska dramatycznego a drugą ręką burzyć kulturę ową widowiskami naszej opery. Wówczas bowiem w najlepszym razie prądy dodatnie i ujemne znoszą się i zostaje — zupełne zero.

Każda premiera, każde wznowienie dostarcza w tym kierunku drastycznych, przykładów bezliku: Wystawienie Królowej Jadwigi (odsuwamy tu na stronę jakość muzyczną tej opery) to już niebyłeżaki zamach na t. zw. przeciętną kulturę teatralnego widowiska. Kto nie wierzy, niech sobie przypomni chociażby tych jakichś kosmatych, obdartych lombrozowskich posłów litewskich na dwór wawelski w pomarszczonych cielistych kalesonach. Niech sobie przypomni paradoksalne libretto tej opery!

Czy też przerażające szczegóły z Poławiaczy Peret, — owo morze, które niczem przepoła rozłożonego na operacyjnym stole pacjenta faluje kurczowo. Owe księżycy wynikające i znikające razem z początkiem i końcem duetu miłosnego, ów balet bezmiernie niedołączny, czy też owych czcigodnych, pomadkowych kapłanów w tjarach, którzy łażą po scenie, a każdym ruchem zdają się prosić Boga, by dano im już zejść z tej sceny!

Czy Warszawa, w której wielcy walają się wśród nędzy tak często po przytułkach, w której nie można dotąd wydać Norwida, która nie ma na zbiorowe wydanie Dygasińskiego, robi dobrze, iż wydaje miliony na sprawę bezspornie szkodliwą z punktu widzenia propagandy słowa polskiego, pięknej barwy, szlachetnego ruchu i artystycznie zdrowego sensu?

Zwracamy na to uwagę ogółu, gdyż z racji dziesięciolecia Niepodległości zrodzony projekt budowy wielkiego gmachu operowego nie wygasł jeszcze, tuła się wciąż po głowach, biurach i różnych biurkach miejskich. Lada chwilę, — wichrem obłądnej inicjatywy może znów wybuchnąć, — ów nieszczęśliwy pomysł w którym racjonalna praca nad sztuką narodową nie postawiła nawet pierwszych nieśmiałych kroków.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

LITERATURA A MUZYKA

III.

Bardziej jeszcze widoczny jest postęp poczucia muzycznego w literaturze angielskiej. Anglik średnowieczny jest muzyczny, ma wrodzone poczucie polifonii, śpiewa wielogłosowo, zna się na muzyce powszechnie, nawet jeżeli nie jest zawodowym muzykiem. Badacze uważają nawet za możliwe, że w Anglii najwcześniej zaczęto używać trójdźwięku, a więc podstawowego akordu dzisiejszej harmonii.

Poeci Odrodzenia w Anglii mają dla muzyki zainteresowanie żywe i umiejętne, — cytaty muzyczne Szekspira zebrano w osobnej książeczce. Serce muzycznego czytelnika raduje się! Oto przykład jak o muzyce może mówić wielki i muzyczny poeta! jak może odczuwając muzykę *muzycznie*, wyrazić się o niej *literacko*. (Znał i Goethe godność muzyki, a że sam był mało muzyczny, trzymał się orientacji, jaką mieli za przyjaźnieni z nim muzycy.)

Kiedy później powodzenie opery włoskiej w Anglii dochodzi do przesady, Addison woła o operę narodową. Jej zaczątki (Beggars' opera) witają Pope i Swift. Kiedy oratorium Händla dochodzi do znaczenia angielskiej specjalności, muzyka daje mnóstwo tematów dla literatury bieżącej. Oratorium dało Anglikowi idealne połączenie religii z duchem korporacji śpiewającej, święte przymierze Biblii z klubem chóralnym. Dzielni mieszczanie śpiewają oratorja z poczuciem własnej tężyzny — stanowej i rasowej, z sakralnym przejęciem i świętem zacietrzewieniem — obraz godny pióra Dickensa! W Panteonie angielskim w Westminsterze, Händel spoczywa — jakby symbolicznie — obok Dickensa.

Ale dopiero w czasie romantyzmu muzyka zajmuje znaczenie szczególniejsze w poezji — potem w powieści. Nie szukać jej u Byrona (mimo „Hebrajskich Melodyj“), ani u Keatsa, obaj widzą muzykę jeszcze małowniczo, poprzez ossjaniczne harfy, we mgłę przedhistorycznej i w świetle księżycy. I jeszcze u innych poetów mityczni druidzi, zawsze niezmiennie uroczyści, są przedstawicielami muzyki. „Arjel“ poezji angielskiej, Shelley, którego muza wydaje się Keatsowi istotą „najmuzycalszą“ (a którego życie A. Maurois przedstawił nam jako pochod niesłychanych dysonansów), Shelley jest pełen muzyki, ale *muzyki w przenośni*, przetransponowanej w poetyczność. Realniejsze poczucie muzyczne ma Wordsworth, bardziej jeszcze Coleridge, który nie lubi sławnych śpiewaków-artystów a szuka starych pieśni szkockich. Podczas gdy Tennyson każe śpiewać swym rycerzom, prerafaelici swym aniołom, prozaicy widzą w muzyce coś więcej niż poetyczny atrybut opisów. Pani George Elliot — angielska George Sand — jest kobietą dobrego serca wogóle, więc okazuje dobre serce i muzyce, choć bez szczególnego nią zainteresowania; Thackeray trochę poświęca muzykę dla wyszydzenia mody ale — pierwszy może! — natrafia na temat kapitalny i niewyczerpany: na muzycznego *snoba*; Dickens rozkosznie prześmiewa muzyczne ambicje małomieszczactwa; humor muzyczny tryska u K. Jérôma. Zmarły niedawno Tomasz Hardy już zaczyna używać muzyki dla bardziej sprecyzowanej *psychologii*; Meredith, analityk duszy, nie ma poczucia muzycznego, ale — i to jest szczegół historycznie najciekawszy — Meredith *nie może już pamiętać muzyki* w swych powieściach. Bo od czasu, kiedy w Anglii muzyka Wagnera zapuściła korzenie, poczytny autor i psycholog społeczeństwa, ignorujący taki czynnik kultury współczesnej jak muzyka, *skompromitowałby się*.

Oto mamy jeden z punktów istotnych zagadnienia. Autor francuski (A. Hermant) stwierdza, że dziś „każdy przyzwoity człowiek jest obeznany z muzyką“, równocześnie autorowie angielscy, pod naciskiem publiczności, *muszą* rozprawić się ze zjawiskami muzycznymi. Wynik: biada autorom, którzy przed swymi czytelnikami obnażą swą ignorancję muzyczną, albo okażą naiwność i prymitywizm pojęć! — podkopie to ich kredyt autorski. Nawet niebardzo muzyce przychylni Wells i Galsworthy muszą nagiąć się do tych żądań publiczności.

U Wellsa znajdujemy postać pewnego urzędniczy-ny, którzy, słuchając sonaty „kreutzerowskiej“ Beethovena sam siebie się pyta dlaczego też Tolstoj mógł w tym właśnie utworze Beethovena dosłuchać się tyle zepsucia i trucizny? Rzeczywiście słowa Tolstoja o muzyce w „Kreutzerowskiej Sonacie“ są dowodem jego nieobznajomienia muzycznego, ambarasującego nieco wielbicieli wielkiego pisarza. A Galsworthy używa niezręcznych trochę porównań muzycznych, np. mówi o niebie, które nad kimś wznosi się jak wielka — symfonia (?), o jakiejś oddali w czyjems życiu, z której dochodzi chór w delikatnych rytmach modulujący (?). Oskar Wilde nie pisze niedorzeczności o muzyce, ale jego estetyzm, podkreślana wszędzie wybredność i smak jego postaci, czyste cytaty z zakresu sztuki, nieraz budziły ciekawość czytelników, jak też było z wiadomościami, z wykształceniem i znawstwem artystycznym Wilde'a. Bernard Shaw, który jest znawcą muzyki — opowiedział niedawno swe wspomnienia o Oskarze Wilde. Z nich dowiadujemy się, że Wilde „nie odróżniał jednego tonu od drugiego, mówił np. o jakiejś „czerwonej“ kompozycji Dworzaka, spodziewając się, że takie powiedzenie wystarczy aby uchodzić już za prawdziwego znawcę. W rzeczywistości Wilde nie wiedział o muzyce nie i nie interesował się nią ani trochę“. (Taksamo — zaręcza Shaw — rzecz miała się i ze znawstwem malarstwa O. Wilde'a, zachwyty jego nad obrazami zdradzały na każdym kroku, że Wilde zupełnie nie znał się na sztuce.)

Nie wystarczy więc pisarzowi mieć respekt uznawczy dla muzyki i ostrożność wobec niej, ale już niebezpieczne jest okazywanie muzyce większego zachwytu niż się go ma w rzeczywistości, więcej swady lub nonszalancji niż znawstwa. Każdy autor odpowiada za stopień uczciwości i kompetencją muzyczną nie tylko swoje ale i swego bohatera. Sprawa muzyki w literaturze staje się więc coraz drażliwsza, bo jeżeli dziś literat (angielski) nie może już pomijać muzyki, to z drugiej strony nie wystarczy, aby zbywał ją ezczym tylko szacunkiem słów (Wilde), albo aby jakimś utworowi przypisywał fantastyczne własności muzyczne (Tolstoj).

Ale poza niebezpieczeństwem pomyłek muzycznych jest urodzajna kraina, gdzie muzyka daje literaturze obfity plon. Robert Browning nie tylko zna i rozumie muzykę, ale zna także jej technikę; G. Moore używa spraw muzycznych jako głównego tematu swej powieści „wagnerowskiej“ (Evelyn Innes); Shaw był przez dziesięć lat krytykiem muzycznym „Worldu“ i walczył tam o muzykę przeciw sportowi śpiewacemu i snobizmowi. Robił to tak dowcipnie, że nawet „głuchy agent giełdowy“ czytał jego sprawozdania. Dawna tradycja krytyki muzycznej wymagała jeszcze w tych czasach, aby krytyk był ignorantem. Tymczasem książka Shawa „Doskonały Wagnerzysta“ już nie jest zwyczajną parafrazą nastrojów wagnerowskich, ale studjum muzycznym rzeczowem, pełnej wartości; wstęp „Człowieka i Nadcłowieka“ zdobią pierwsze takty „Don Juana“ Mozarta; pomiędzy pochodniami ducha Shaw na pierwszym miejscu stawia Beethovena; w kwestjach współczesnego małżeństwa i celibatu (Getting Married) bierze przykłady z życia Beethove-

na. Snob muzyczny otrzymuje swą należną część. Porównania Wagnera z bokserem w „Cashel Byrons Profession“) jest paradoksalnym dowodem, że człowiek obeznany z taką sztuką jak muzyka, może rozumieć wszystkie inne sztuki; jeden z chirurgów w „Lekarzu na Rozdrożu“ ma głos tak muzyczny, że połamane kości zrastają się już prawie na sam odgłos jego mowy... Absurd, chwilowo autorowi potrzebny, Shaw umie skonstruować zapomocą muzyki — ale *nie na koszt muzyki!*...

**

Ale absurd muzyczny! jako kwiatek niechcący naiwności literata, nonszalancja w dotykaniu muzyki, tej dziedziny, która według niektórych literatów nie wymaga ani znawstwa, ani wogóle udziału intelektu — oto temat drażliwy! Niestety drażliwości jego nie znają niektórzy powieściopisarze. Zanim przypatrzymy się kwiatkom tej flory, wyrosłym na naszym swojskim gruncie, skonstatujemy, że istnieją już we Francji całe, systematycznie zebrane zielniki, całe zbiory kwiecistych banałów, głupstw o muzyce bezmyślnie i powszechnie powtarzanych.

„Słownik Komunalów“ Flauberta nie jest zbiorem cytatów literackich, ale nie trudno będzie czytelnikowi odnaleźć literackie zastosowania tych typów, częste a niegdyś prawie normalne. Wiedział Flaubert doskonale, że kolekcjonowanie komunalów jest najlepszym środkiem higieny przeciw ich zaraźliwości. Znajdujemy więc alfabetycznie zestawione słowa z ich znaczeniem powszechnie zwyczajowem, np. Dyletant—człowiek zamożny, abonent Opery. Harfa — wydaje niebiańskie harmonje; na rycinach, grający na harfie siedzi na ruinach u brzegu potoku; Włosi — wszyscy są muzycy i zdrajcy; Mandolina — niezbędna przy uwodzeniu Hiszpanek; Muzyka — nasuwa mnóstwo myśli, łagodzi obyczaje zob. „Marsyljanka“); Orkiestra — obraz społeczeństwa, każdy robi swoje, a jeden jest zwierzchnikiem; Organy — wnoszą duszę ku Bogu; Offenbach — skoro się słyszy to imię, trzeba zrobić ręką gest od uroku, — bardzo paryskie, bardzo noszone; Fortepian — niezbędny w salonie; Paganini — nie stroił skrzypiec, sławny ze swych długich rąk; Pieśni — śpiewający ma powodzenie u dam; Wagner — należy uśmiechać się, kiedy się jego nazwisko słyszy i dowcipkować na temat „muzyki przyszłości“.

Słownik taki jest zawsze grubo niekompletny i musi być dostosowywany do kraju i czasu, w którym ma działać. Należałoby pomyśleć o wydaniu podobnego dzieła u nas, o zaopatrzeniu nim naszych literatów. Na wstępie mógłby widnieć napis, że „nie pisać wcale o muzyce jest równie niewłaściwe, jak pisać o niej niedorzecznie“.

K. Stromenger

NA MARGINESIE

Nad czym pracują? Piotr Choynowski przygotowuje II tom *Kuźni*, powieści obejmującej wydarzenia 1863 roku, oraz prowadzi studja nad XVIII wiekiem, przygotowując *powieść* o ojcu ostatniego króla polskiego *kaształanie Stanisławie Poniatowskim*. Wacław Grubiński wykończył nowelę p. t. *Tyberjusz*, oraz pisze *powieść* współ-

czesną, której akcja odbywa się w Warszawie. Dr. M. Treter wydaje w Wiedniu po niemiecku „*Polnische Malerei der Gegenwart*”, oprócz tego przygotował *Sztuka Polska XIX i XX wieku*, wreszcie książkę rozważań estetycznych p. t. *Sztuka i kontemplacja*. Edward Boye przekłada *Don Kichota Cerwantesa*, przygotowuje materiały do większej pracy porównawczej z dziedziny literatury i obyczaju w Polsce i w Hiszpanji. Wittlin wyjechał do Paryża, by tam wykończyć swą powieść z wielkiej wojny *O Piechurze*, Wilam Horzyca ma wydać tom studjów p. t. *Twarze i Idee*, pracuje równocześnie nad wielkim dramatem p. t. *Wzniesienie Księżniczki Salome*, Aniela Zagórska pracuje nad przekładem powieści, Conrada, Halina Dąbrowska debiutuje pierwszym zbiorem nowel p. t. *Zielony Parawan*.

* * *

W przyszłym tygodniu wchodzi na wokandę sądu okręgowego sprawa pomiędzy spadkobiercami Dygasińskiego a wydawnictwem „Biblioteka groszowa”. Ze strony spadkobierców występuje adwokat dr. Breiter.

Nasi miejscy mecenas opery i teatru letniego powinni być obecni na tej rozprawie. Nauczy ich ona może więcej o losie wielkiej sztuki w Polsce, niż dziesięć premierowych *Jadwig*, *Syren*, czy *Violetta*. Oto los kochanego Kiplinga polskiego: Wydany pierwszy raz biorowo w najlichszej szatce wydawnictwa 95-cio groszowego — musi przed sądem stawać i dochodzić swych spraw.

Panowie mecenas operowi, panowie wydawcy zechcą zapewne przysłuchać się tej sprawie. Sprawa taka świadczy wymowniej o pietyzmie naszych mecenasów i nakładców niż najostrzejsze artykuły.

* * *

Z niezmiernie zajmującej książki Ferdynanda Goetla p. t. „*Wyspa na Chmurnej Północy*”, o której zamieścimy niebawem obszerniejsze sprawozdanie, przytaczamy na razie wyjątek, dość charakterystyczny w odniesieniu do naszych stosunków życia literackiego:

„Rewelacyjnie wyglądają cyfry, dotyczące rozwoju czytelnictwa. Książka popularna ukazuje się tu w 5,000 egzemplarzy (na Islandji) to znaczy, iż kupuje ją co dwudziesty człowiek, w niektórych zaś wypadkach cyfra nakładowa jednego dzieła osiąga aż 15,000 egzemplarzy. W przeliczeniu na Polskę, oznaczałoby to nakład 4 miliony z górą egzemplarzy.

Bezprzykładny stosunek ten ludności do piśmiennictwa sprawia, iż 100 tysięczna wyspa wyżywia dziesiątek pisarzy, których głównym zawodem jest praca literacka. Budżet państwowy z roku 1924 przeznaczal na pozaszkolną naukę, literaturę i sztukę 249,000 koron islandzkich, czyli 600,000 złotych... Nie brak i funduszu stypendjalnego dla młodych. W świadectwach tych budżet Islandji wyprzedził Polskę stokrotnie”. jkb.

Z NIWY POLONIKÓW

Profesor R. Dyboski w Ameryce.

Do Stanów Zjednoczonych udał się na dłuższy pobyt prof. Jagiellońskiego Uniwersytetu dr. Roman Dyboski. Zaprosiły go na wykłady o Polsce uniwersytety w Dartmouth, Ohio, Buffalo, Michigan, a na grudzień, styczeń i luty został zaproszony do Uni-

wersytetu Chicagoskiego. „*Dziennik dla Wszystkich*”, wychodzący w Buffalo, zachęca miejscową inteligencję polskiego pochodzenia do udania się gromadnie na te wykłady i „dowiedzieć się czegoś o Polsce, boć przecież nasi „wielcy, więksi i najwięksi” o kulturze polskiej mają bardzo małe pojęcie. Przez gromadne wzięcie udziału w tych odczytach, panowie i panie polskiego pochodzenia, postawicie siebie i całe wychodźstwo na wyższym szczeblu równouprawnienia duchowego z Amerykanami”. „*Kuryer Narodowy*” opisuje przyjęcie, jakie w Nowym Yorku dla przybyłego z Polski gościa urządził prezes zarządu Fundacji Kościuszkowskiej H. N. Mac - Cracken w „*Century Club*”, gdzie obecni byli wybitni profesorzy i redaktorzy pism literackich i naukowych. Prof. Dyboskiemu zadawano pytania z przeróżnych dziedzin życia Polski, — z zakresu literatury i nauki, polityki i spraw socjalnych szkolnictwa, stosunków ekonomicznych i materialnych i t. d. „O wszystkim tem mówił, — pisze „*Kuryer Narodowy*”, — nasz zacny gość z lekkością wysoce zajmującą, a wcale nie pobieżną, nie powierzchowną, o wszystkim dawał skończone, dokładne objaśnienia, urozmaicając dyskusję ciekawymi wspomnieniami z czasów spędzonych z p. Mac Crackenem w Oxfordzie, a potem wspomnieniami z wojny światowej, z kilkoletniego pobytu na Syberji... Słuchano tych opowiadań z widocznym zajęciem i dziękowano za nie czcigodnemu rodakowi naszemu nadzwyczaj serdecznie”.

Klabund i Polacy.

O tem, że stosunek zmarłego pisarza do Polski nie ograniczał się wyłącznie do pisania o literaturze polskiej w tonie ucinkowym i niemal lekceważącym, informuje dr. Roman Molenda w uwagach drukowanych w „*Kurjerze Poznańskim*” i „*Słowie Pomorskim*”. Autor tych uwag spędzał wakacje Bożego Narodzenia w r. 1915 w Monachjum i poznał wtedy bardzo dobrze Klabunda, który bywał u niego codziennym gościem: „Klabund całemi wieczorami wsłuchiwał się w melodie patryotycznych polskich pieśni, które grała mu moja żona na fortepianie, a ja deklamowałem. Po polsku nie rozumiał ani słowa, intuicyjnie jednak odczuwał rytm i treść skrzętnie notował. W ten sposób tłumaczył: „Nie dbam jaka spadnie kara”, „Z dymem pożarów”, pieśni legionowe, z luźnych opowiadań tworzył nowelki naprędce, których wiele drukował („*Der poln. Jungschütze*” i in)”.
Z wyjazdem dr. Molendy z Monachjum, utrzymał się tylko kontakt listowny z Klabundem, który nagle urwał się, gdyż Klabund napisał do cesarza list tego rodzaju, że musiał czempredzej zmykać do Szwajcarii.

Uwagi dr. Molendy nasuwają bądź-co-bądź spostrzeżenie, że po stronie polskiej jest jednak pewna wina, iż nie potrafiliśmy rzadko spotykanego u niemieckiego pisarza zainteresowania dla Polski wykorzystać i ugruntować z korzyścią dla niemiecko - polskich stosunków literackich.

Nasza propaganda a Ministerstwo Oświecenia.

Dnia 5 października odbyła się w Min. W. R. i O. P. pod przewodnictwem wice-ministra dra Czer-

wińskiego doroczna konferencja profesorów Polaków, piastujących katedry polonistyki lub lektoraty języka polskiego w Paryżu, Lille, Londynie, Rzymie, Brukseli i t. d. Sprawozdania i dyskusja obfitowały w szereg bardzo ciekawych momentów, rzucających światło na stosunek warstw intelektualnych różnych krajów Zachodu do Polski. Powzięto kilka wartościowych uchwał m. in. w sprawie opracowania zarysu uniwersyteckiego podręcznika języka polskiego dla cudzoziemców.

T. Gleyden

50-LETNI JUBILEUSZ AMERYKAŃSKIEGO ZWIĄZKU BIBLIOTEKARZY

Ameryka i Stary Świat

W ostatnich numerach new-yorskiego „Library Journal” opublikowano wiele materiałów, odnoszących się do 50-letniej Jubileuszowej Konferencji Amerykańskiego Związku Bibliotek. Konferencja ta w Filadelfii będąca do pewnego stopnia, generalnym przeglądem sił całego świata, wykazała i na tem polu siłą przewagę amerykańskiego kapitału i techniki. Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, iż Europejczycy czuli się w położeniu biednego krewnego z prowincji. Brak własnych funduszy zmusza często Europę do korzystania z dobrodziejstwa amerykańskiego wujaszka. Wybitną rolę w tej pracy dobroczynnej odgrywa „Korporacja Carnegie”, założona przez słynnego miliardera. Dotychczas wspomniana korporacja wydała już przeszło 60 milionów dolarów na budowę 2.200 bibliotek w różnych krajach. „O wielkodusznej hojności” Amerykanów wiele mówił na konferencji przedstawiciel angielskich bibliotek, lecz działalność amerykańskiego komitetu święciła największe triumfy w zniszczonych przez wojnę departamentach francuskich. Zorganizowano tu całą sieć dziecinnych bibliotek na modłę amerykańskich.

Amerykański Związek Biblioteczny

Związek stanowi potężną organizację, której wpływy sięgają daleko poza granice Stanów Zjednoczonych. W roku 1926 liczba członków wynosiła około 10.000, a budżet roczny, nie licząc hojnych ofiar, wzrósł do 400.000 dolarów. Działalność wydawnicza towarzystwa w dziedzinie bibliografii i techniki bibliotecznej rozwinęła się bardzo szeroko; świadczy o tem imponująca liczba sprzedanych w ciągu ostatniego roku 667.640 jednostek i 14.602 rozdanych bezpłatnie. Związek zajmuje się, niemal wyłącznie, wyszkoleniem odpowiednich sił bibliotekarskich, będąc jednocześnie organizacyjnym centrem metodycznym w dziedzinie bibliotekarstwa. Kontroluje pracę organizacji specjalny komitet, który śledzi bacznie za pracą poszczególnych bibliotek w każdym stanie. Związek opracowuje spisy książek dla systematycznej nauki samouków. W Paryżu zorganizował bibliotekę amerykańską, która jest

„awangardą Ameryk. Bibliot. Związku za granicą”. W dziedzinie techniki bibliotecznej Amerykanie potrafili wielu rzeczy nauczyć spóźnioną Francję. Tak przynajmniej opiewa sprawozdanie francuskiego delegata, który z uznaniem podkreśla pomysłny rozwój amerykańskich bibliotek dziecięcych we Francji. „Szkoły bibliotekarskie według amerykańskich wzorów i pod kontrolą amerykańskiego Związku znajdują się na przestrzeni od Anglii do Chin i Japonii” (...from England to India and China library Schools of the American pattern, have been established). Te słowa amerykańskiego referatu świadczą, iż przemówienie angielskich, francuskich, norweskich i japońskich gości, podkreślające wielki wpływ Ameryki na rozwój bibliotekarstwa w innych krajach — nie są bynajmniej formułami grzeczności.

Prace konferencji

Praca odbywała się na posiedzeniach plenarnych i posiedzeniach poszczególnych sekcji, jako to: bibliotek wiejskich, dziecięcych, szkolnych, naukowych, wykształcenia bibliotecznego, sekcji katalogów itp. Z najbardziej aktualnych kwestyj wspomniamy następujące.

Rozwój sieci bibliotecznej na wsi. „Ostatnie pięćdziesięciolecie — mówi dyrektor biblioteki Publicznej w Bostonie — było bezsprzecznie okresem rozwoju miast. Dziś nadeszła chwila, by biblioteka wiejska została zrównana w prawach z książnicą miejską. Wieś powinna zaprotestować przeciwko takiemu stanowi rzeczy, w którym przeszło 50 milionów naszego narodu nie korzysta z dobrodziejstwa biblioteki”.

Przygotowanie bibliotekarzy. Podczas przemówień poszczególnych delegatów, z szczególną dobitnością wypowiedziano myśl, iż pracownik biblioteczny powinien w zupełności zostać zrównany z nauczycielem, jak również powinno nastąpić równouprawnienie biblioteki i szkoły. Biblioteka i szkoła — to „dwie nogi, na których spoczywa oświata narodowa”. W związku z tem, iż zadaniem biblioteki amerykańskiej jest dostarczenie stawy duchowej nie tylko młodzieży szkolnej i samoukom, lecz również najszerzszym masom ludności, należy zreformować metody pracy bibliotecznej. Biblioteka staje się coraz bardziej odpowiedzialną i wymaga od bibliotekarza wysokich kwalifikacji. Czas już skończyć z mniemaniem, jakoby kierownictwo biblioteką było „zajęciem panienek, miłośniczek książek”. Należy również zerwać z poglądem, jakoby praca w niewielkiej bibliotece wymagała mniejszego wykształcenia, niż w wielkiej. Zdanie powyższe jest równie niesłuszne, jak to, które twierdzi, iż dla małych miast wystarczą lekarze o mniejszych kwalifikacjach, a większe — wymagają bardziej wykształconych. Należy ustanowić odpowiedni cenzus dla ludzi, pragnących się poświęcić zawodowi bibliotekarza, i, o ile możliwości, szerzej rozwinąć sieć szkół bibliotekarskich.

Metody pracy bibliotecznej

Tak jak i w wielu innych dziedzinach życia amerykańskiego, tak i tu, dźwignią rozwoju jest konkurencja. Zaciekłymi konkurentami biblioteki stało się

radio, wykłady, kursa itp. Jeden z referentów stwierdza, iż „biblioteka publiczna, z której korzysta jedynie niewielki procent ludności miasta, przestaje być biblioteką publiczną”. Ażeby móc przetrwać zwycięską konkurencję innych rozrywek, odciągających czytelnika od książki, trzeba wiele zmienić. Należy zacząć od zmiany zewnętrznego wyglądu biblioteki. Architektura biblioteki jest zupełnie przestarzała i zupełnie nie odpowiada dzisiejszym zadaniom biblioteki. Pierwotnie biblioteka była skarbnicą rzeczy rzadkich i cennych. W związku z tem przeważała wśród gmachów bibliotecznych architektura kościelna. W dawnej książnicy nie oczekiwano specjalnie na przybycie czytelnika; zresztą on sam był w bibliotece rzadkim gościem. Lecz i nowe budynki nie odpowiadają współczesnym wymaganiom, gdyż w chwili ich wznoszenia, biblioteki były pomyślane jedynie jako centra do rozdawania książek.

Tęsamem szkoła może nie liczyć się z architekturą swego budynku; do szkoły i tak wszyscy pójdą, ponieważ wiedzą, iż do niej iść należy. Biblioteka natomiast jest odwiedzana nieobowiązkowo i dlatego jej wygląd zewnętrzny powinien zwracać uwagę.

Co się tyczy wewnętrznej budowy, to budynek biblioteczny powinien pozwalać na swobodne poruszanie się wielkiej liczby ludzi i rzeczy. Potrzebne są więc ruchome ściany, pozwalające na czasowe ustanawianie dowolnej liczby pokoi; dalej wskazaną jest możliwość niewielkiego rozszerzenia budynku w dół (piętra podziemne); w górę itd. W gmachu powinny się znajdować sale odczytowe, sale dla ruchomych wystaw, koncertów itp. Słusznym również wydaje się pomysł zjednoczenia biblioteki, muzeum i galerji obrazów pod jednym dachem. Sąsiedztwo biblioteki z muzeum i galerją powinno obudzić zainteresowanie do samej biblioteki. Biblioteka powinna zdobywać wszelkiemi sposobami nową masę „potencjalnych” czytelników, rekrutujących się ze sfer robotników przemysłowych i ich rodzin, spragnionych kulturalnych i dostępnych rozrywek. Myśl uczynienia biblioteki elastyczną, zaspakajającą nowe żądania i wymagania mas ludności, znajduje coraz większe prawo obywatelstwa w amerykańskim świecie bibliotecznym. Kwestja reklamy bibliotecznej często jest dyskutowana na łamach prasy fachowej. I ta właśnie niespokojna, rzutka i energiczna wynalazczość i inicjatywa amerykańska przykuwają do siebie uwagę Europejczyka.

L. Ron.

Z BIBLIJOFILSKIEJ ANTOLOGII

O rodzimym kraju czcionek.

Może się myśle, ale sprowadzanie do kraju naszego druków obcych, niemieckich, austriackich, francuskich, wydaje mi się być bardzo rzeczą szkodliwą, dla gałązki gustu drukarskiego, jakożkolwiek ten zwyczaj od tylu już wieków upoważnionym zostaje! Rzucimy okiem na druki obok siebie położone: włoski, austriacki, francuski, lipski lub ber-

liński, angielski, uderza nas różnica, która stanowi pewną charakterystykę, że powiem, narodową, właściwą w powszeczności miejscowym drukiem. Tę charakterystykę może też nazwać się godzi językową, bo wyrabianie liter tak różne, zdaje się być stosowne do języka, dla którego są robione. Tym samym drukiem złożony tekst kilku języków obok francuskiego, niemieckiego, polskiego, ukaże na każdy język inne tegoż druku wejrzenie, bo druk do tak różnych języków użyty jest dla jednego tylko stosowny a nie dla byle jakiego. Dobrze by było, ażeby przyszedł czas, żebyśmy się przeświadczyli, że ani francuski, ani niemiecki druk do naszego polskiego języka nie są stosowne, że dla polskiego języka wcale własnych potrzeba druków. Ale tyleśmy nabyli nałogu na wpatrywanie się w cudze rysy i nieszykowną stąd harmonję, że w ten moment byłoby prózną rzeczą w szczególne zapędzać się obserwacje, na któreby nałóg tysiąc znalazł odpowiedź, na jakie nie zbywa w tych wszystkich rasach, w których jedynie wprawna obserwacja i w niej nabyte trafne uczucie decydować może.

(Bibliograficznych Ksiąg dwoje. I. 230-1) Joachim Lelewel. (*Wybrał Este*).

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Kobieta bez jutra, Kraków: List Pani z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy. List ten lepszy jest od Jej poezji. Streszczajmy tedy najprzód sprawy poruszone w liście: 1) W obronie zupy szczawiowej: Ugotowana na rosole, zaprawiona dobrą kwaśną śmietaną, z wkrojonym twardym jajeczkiem, podparta grzankami z przypieczonym serem parmezanowym zupa ta nie zasługuje na potępienie. 2) Co do wytwornej bielizny, — zgadzamy się, iż kobieta nie powinna gardzić bielizną stosowną a nawet wytworną. W sprawie jazdy automobilem: Nie chorowaliśmy nigdy w aucie, znamy jednak środek, łagodzący przypadłości chorobowe. Nazywa się seesick, dostać można w każdej aptece, może nawet krajowy. — środków zagranicznych nie polecalibyśmy, chociażby ze względu na nasz bilans handlowy. W sprawie koldry: To zależy? O ile Pani jest brunetką koldra powinna być żółta. Kolor koldry i kolor krawatów, to rzeczy niedościgłe trudne dla nas. Wracając do poezji. Są łatwe, płynne, i nic ponadto. Już leżą w koszu, dobrotnie i obojętnie, jak przysłało. Więcej w tej poezji odczytania, wyrobienia, niż talentu, czy choćby tylko zdolności. Radzimy spróbować prozy. Czekamy na jakieś opowiadanie. Dziękujemy za miłą pamięć. Sama Pani pisze gdzieś o sobie — „uczuc kłęby”. Bardzo, bardzo niewyraźne kłęby!

Ritza Armando: Żaden z tych grzechów nie będzie zamieszczony, gdyż oba nie posiadają żadnych walorów poetyckich.

Juljusz Wit: Festyny? Nic Pan z tego nie zrobił. Trzeba było ścisnąć to zgarnąć, stworzyć z tego opowiadanie. Pan zaś dał wyliczenie. Jest coś dziwnego w sposobie pracy pańskiej: Przygotowuje Pan elementy i albo przerysowuje Pan (w poezji) albo, — poprostu, odchodzi Pan od zebranych elementów, nie chcąc, czy nie mogąc ich zorganizować. Dlaczego?

Jadwiga, Lwów: Odpowiadamy tutaj, jak wszystkim. Odpowiadamy szczerze: Nie warto pisać. To nieprawda, by poetyczność tkwiła w wierszach i w ich publikowaniu. Po cóż te nieuzasadnione ambicje. Lepiej dobrze posprzątać

pokój; zamieść porządnie całe mieszkanie, zrobić dobry, nasz, galicyjski, lwowski strudel ze śliwkami, niż pisać takie wiersze.

X. Y. Włocławek: Dwa wiersze całkiem liche, a ów Most tak dobry, tak szlachetny w zasadzie. Oczywiście, — drukujemy. Radzimy iść drogą mostu, a te tem jakieś maki i t. p., — porzucić raz na zawsze.

Polikarp. Pelcówna: Przeczytaliśmy ze wzruszeniem te wiersze. Nasza rada: Niech Pan nic nie filozofuje przy układaniu tych rzeczy o tłumie o ludzkości i t. d. Starać się widzieć dokładnie i odtworzyć w najlepszym na jaki Pana stać wierszu najdokładniej sam przebieg samą pracą maszyn. Tak zwana myśl ogólna wyjdzie, wyłoni się sama. Wiersze nie muszą być długie. Trzy, cztery strofki, lecz ściśnięte. Żeby w nich było tylko to, co potrzebne. Ba, — taksamo zresztą, jak w maszynie. Czekamy nowych przeróbek. I niech się Pan nie wstydi do diabła, że Pan wiersze pisze. Fakt, że polscy robotnicy piszą wiersze — to fakt kulturalnie ważniejszy, niż że wiersze piszą poeci.

Aleks. Wiśn. Wiersze słabe, nieoryginalne, bez wartości. Dobry — pomysł końcowy o prozie Vernego, za mało jednak jednego dobrego pomysłu na cały wiersz.

Włodz Solwen, Łódź: Ależ oczywiście, można nic nie czytać, nie wiele umieć, nic nie umieć i być czarującym poetą. W każdym razie trzeba czuć poezję, mieć jakiś własny, wrodzony rytm zdania, słowa i obrazu. Niestety nie posiada Pan tych darów szlachetnych. Jeżeli możemy być szczerzy, — nie widzimy oznak talentu w załączonym wierszu.

Tadeusz Leś: Niestety, nie jest to poezja, lecz zwykłe rymcróbstwo. Sądźmy, iż winien Pan uprawiać ten rodzaj pisania dla własnej przyjemności, ze sztuką jednak tego rodzaju wiersze nie mają nic wspólnego.

Gabryjela P., Zestawienie zbyt pobieżne, nie można w kilku logicznych nawet propozycjach zamknąć tych dwóch tak potężnych ludzi. Nie będziemy drukowali, prosimy o inne prace, bardziej jednak proporcjonalne!

Art. Lem. Być może, że są to rzeczy piękne nawet? Tego rodzaju poezja jest nam, Niestety całkiem obca. Nie odmawiamy Panu szczerości i ogłady poetyckiej. Nie holdujemy jednak tego rodzaju sztuce. Dziękujemy za zaufanie. Z nadesłanych utworów nie skorzystamy.

Ka-ot W-wa: Opis Łazienek bardzo słaby. O wiele lepsze tamte wiersze. Kompozycja maszyny bardzo dobra. Niestety rymuje Pan tak monotennie, tak Panu jeszcze cięży praca rymu. Rytm wiersza ospały. Dlaczego. Rytm to wielka tajemnica, oczywiście: Ideał trudny do osiągnięcia. Nie można jednak pozwolić, by rytm włókił się nieudolnie. Zachęcamy do nowych prób, których oczekujemy!

Stefan P. Jaki pieśniarz? Jakie dziewczę? W jakim świecie, w jakich warunkach żyje Pan, powołując się w swej poezji na postacie urojone, wykorzystane do cna 100 lat temu, nie odpowiadające dziś żadnej rzeczywistości poetyckiej? Czy sądzi Pan, że na to, by być poetą wystarczy pisać wiersze?! Przeczytawszy drugi utwór pański, radzimy zaprzestać pisać, nie tracić czasu na pracę, do której nie posiada Pan właściwych uzdolnień.

I. Diet, Lublin: Niestety wiersze liche i radzimy przemyśleć kiedy istotnie, rzeczywiście był taki Napoleon większy: Czy, kiedy tyściał działo waliło na jego rozkaz, czy gdy z synkiem swym bawił się w żołnierzy.

Eug. C. Lublin: Z wszystkich wierszy dałoby uratować jedno tylko powiedzenie „wysokie ręce srebrzystych gwiazd”. Wszystko inne właściwie bez wartości. Nie samodzielnie tworzone. A więc, — zastanówić się, odrzucić na razie pióro, szukać samego siebie, męczyć się w poszukiwaniu własnego wyrazu. Potem dopiero czynić ów własny wyraz podobnym do poezji, w pracy tej nie będzie Pan nawet wiedział, kiedy wyraz pański stanie się poetycznym. Ale na to trzeba szczerzej wyjęzonej najuczciwszej pracy. Praca poety — to ofiarność, miłość entuzjam natchnieniem!

Z. Sk. Jędrzejów: Zaprawdę szkoda, że pańska ciotka nie przysłała Panu półgęska wędzonego, lub krakowskiej połędwicowej kielbasy (macie z Jędrzejowa tak blisko do Krakowa) lub kabanców wędzonych! Żle, — że pański kolega pisze tak liche wiersze i jeszcze w dodatku posyła je Panu na pański koszt. O kielbasie połędwicowej wartoby było mówić, — o wierszach tych nie warto.

Itamar, Lublin: Nie można tego drukować: Słabe, mierne, banalne. Czy rzeczywiście nie stać Pana na tyle krytycyzmu, by ocenić tego rodzaju twory samemu?

Izk. Toruń: Ależ, na Boga, rzeczy te dawno są już wszystkim ludziom piszącym i czytającym wiadome. Nie możemy w naszym dodatku zaczynać literatury od stworzenia świata!

Jerzy K. M. Łódź: A jednak nie otrzymaliśmy tej książki.

Stosław, Międzyrzecze: Oponcza, baśń, pieśń dzika, namiętna, zew, cisza cisz, — niech się Pan na nas nie gniewa, ale to jest doprawdy potworne! A to co pisze Pan o wojnie, — nieodczute, niezrozumiane, łatwe, potoczne!

Dwa sonety (podpis nieczytelny): Drugi z nadesłanych lepszy. Znacząca kultura. Czy uważa Pan, że to dobrze — „Ramiona nie z stali”?

Witold K. Łódź: Pisze Pan to wszystko niezmiernie wznieście, z emfazą i patosem. I dlatego właśnie ani nie widać opisywanej rzeczy, ani nie czuć, ani nie słyhać. Mannerę tę należy jaknajprędzej przerwać i wziąć się do roboty na nowo od samego początku. Pisać prosto, dla siebie, nie dla gazety, społeczeństwa, czy poglądów partyjnych.

Wiad. Rap., Lwów: Chichot, szatańskie uśmiechy, — nie prawda nie wierzy Pan w to wszystko. My znów ze swej strony, nie wierzymy, że wołałby Pan być liściem, niż człowiekiem. Skądże Pan wie, że liść nie ma trosk? Radzimy udać się do pierwszego lepszego botanika, czy koleoptereologa (chrząszczarz) czy lepidoptereologa (motylarz) dowiedzieć się Pan od nich, jak straszliwe troski, choroby, cierpienia ma każdy liść!

Alfred Lu. Lwów. Apanować się! Więcej w tem na razie próżności, niż miłości do sztuki, nie pisać — aby pisać, lecz tylko wtedy gdy musi się pisać i wie się, co się ma do napisania.

Eugenja Woch., W poezjach Pani odnajdujemy wiele świeżości. Radzilibyśmy jednak nauczyć się przed tem porządnie ortografji. Trzeba przecie oczyścić narzędzie, którem ma się władać. Po ortografji winna przyjść kolej na Mickiewicza. Niech Pani czyta tego poetę i wiele, wiele zastanawia się nad sposobem pisania Mickiewicza. Przekona się Pani wtedy, że pisać to rzeczywiście tworzyć. Że jesteśmy odpowiedzialni za to, co tworzymy. Wtedy na nowo radzimy spróbować własnych sił.

REDAKTOR I WYDAWCA: **WOJCIECH STPICZYŃSKI**

Drukarnia „Literacka”, N.-Świat 22.

Przesyłka pozt. opłacona ryczałtem.